

UNIVERSITY OF
PARIS

Egz. archiwalny IBL

IMPETYNENCYE
I PARADOKSY

IMPETYNENCYE I PARADOKSY

IMPLIKACYJNE I PARADOKSY

DANIEL ZGLIŃSKI

IMPERTYNENCYE I PARADOKSY

STUDYA



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 77
Tel. 26-68-63

WARSZAWA 1911
NAKŁADEM KSIĘGARNI E. WENDE I SKA
(T. HIŻ I A. TURKUŁ)

DANIEL GOLBSKI

IMPERIUM



I PARYŻ

STUDIA



22.745

WARSZAWA 1911

WYDAWCA: DZIAŁY WYDAWSTWA

DRUKARNIA LUDOWA W KRAKOWIE, UL. FILIPA 11.

Pamięci ukochanego brata
i przyjaciela Władysława

poświęca

autor.



Państwowy Instytut Wydawniczy
Instytut Wydawniczy

Warszawa
1957

1957

WYDAWALNIA KSIĄŻEK W WARSZAWIE

SPIS RZECZY *).

	Str.
1. IMPERTYNENCYE I PARADOKSY (Z POWODU ETYKI FRYDERYKA NIETZSCHE)	1
2. FEMINA NOVA (KOBIEȚA (PRZYSZŁOŚCI)	26
3. WZAJEMNY WPŁYW WSZECHARTYZMU I MORALNOŚCI	55
4. ANTYSEMITYZM JAKO KONFLIKT DWÓCH RAS 99—135	

*) „Impertynencye i Paradoxy“, „Femina“ i „Wzajemny Wpływ“, drukowane były w feljetonach *Nowej Gazety*; zaś „Antysemityzm“ w miesięczniku warszawskim *Kultura* (Zenona Pietkiewicza). Niektóre ze studyów tych powiększone.

SPIS TREŚCI

I. WSTĘP 1
II. WYKŁADY 1
1. WYKŁAD I. WYKŁADY WSTĘPNE 1
2. WYKŁAD II. WYKŁADY WSTĘPNE 1
3. WYKŁAD III. WYKŁADY WSTĘPNE 1
4. WYKŁAD IV. WYKŁADY WSTĘPNE 1

Wydawnictwo
Cena
Liczba egzemplarzy



IMPERTYNENCYE i PARADOKSY

(z powodu etyki Fryderyka Nietzsche).

I.

Każdy człowiek rodzi się do złego. Ale to zło musi być chyba bardzo dobre, skoro zadajemy sobie tak wielką fatywę i po nie przychodzimy na świat — bo pocóż by więcej? Zło więc byłoby największym kuszeniem naszego na ziemię przybycia.

Każdy człowiek rodzi się do złego. Nietylko nie jest on w stanie poświęcić swego *ja* ze szkodą swoją, a dla innego z pożytkiem; ale często nie potrafi nawet interesu tych dwóch *ja*, pogodzić. Tem swoim *ja* ograbia cudze przemocą, lub podstępem. Jeśli przemocy nie użył, to z obawy, aby wzamian na nim jej nie wywarto i to jeszcze z okładem. Wtedy woli jej się wyrzec i użyć, zamiast niej, fortelu, zalotnej obłudny. Szczerym jest dziś po to tylko, żeby tą szczerością jutro umiejętnie zrealizować hypokryzyę. Bo też jedynie zwierzęta są szczeremi szczerze, i pokazują przeciwnikowi bezobłudne zęby.

Jesteśmy więc źli.

Bylibyśmy dobrzy, gdybyśmy nimi byli nietylko zarówno dla innych, jak dla siebie; ale w pewnych

razach lepszymi niż dla siebie. O ile zaś takimi nie jesteśmy, stajemy się właśnie w wielu wypadkach szkodliwymi, a więc złymi. Kto, posiadając łaskę, na której oprzeć się może na lodzie, jako na jedynej dla siebie podporze bezpiecznej, nie użyczy jej innemu, jednocześnie pozbawionemu łaski w tych samych warunkach — jest zły. Naraża tamtego na złamanie nogi. Logizowanie zaś, że gdyby postąpił inaczej, byłby, narażając się sam, równie zły i nie-tylko dla siebie, ale i dla tych bliskich mu, których obchodzi i stanowi może ich oparcie nie chwilowe, jest właśnie logizowaniem, wiodącym do nieskończonej liczby wykrętnych oportunizmów, stworzonych dla dogodzenia niby logice moralności, a właściwie tylko złemu samolubstwu.

Jesteśmy więc źli niewątpliwie i może tembardziej, że przypuszczamy, iż dzieje się przeciwnie. Jesteśmy nadto źli i dlatego, że o to posądzamy zwykle innych tylko. Te zaś cnoty tak się w nas zagłębiły, że je wciąż powtarzamy przez całe życie, często z własną szkodą, mimo nauk i ostrzeżeń życia tego. Dobrem jest właśnie tylko życie nasze, choć tak złe dzięki nam. Ono doświadczeniem zaleca wciąż dobre popędy, których nie słuchamy...

Że tak jest, jak powiedziałem, dowodem najbliższym, powszechnie panująca niesprawiedliwość. Jednym zaś z najważniejszych znamion tych niesprawiedliwości, są krzywdy, wyrządzane przez złych mniej od nich złym i że zło bywa często niemoralnie wynagradzanem. Jakto... więc człowiek bardzo zły krzywdzi tylko mniej od siebie złego, a dobrego nie?

Nie.

Dlaczego?

Bo nie ma on w tem interesu, bo co on na do-
brem zyskać może? Zobaczmy.

Wspomniałem o dobrym. Alboż dobrzy są? Są
niby. Co to znaczy niby? To znaczy, że dobrym
jest tylko ten, co był tak nieszczęśliwym, że nie miał
okazyi spełnić zła. Bo i do tego trzeba mieć tro-
szkę szczęścia i sposobności... A proszę mi powie-
dzieć, czem się to staje, że ludzie źli często więcej
czynią dobrego od dobrych? Bo wedle wspomnianej
zasady o dobrych, mają oni rzadko sposobność speł-
nić zło, a zgodnie z zasadą niesprawiedliwości,
rzadko przez nią bywają wynagradzani. A kto wsku-
tek tego, sam nic nie ma, albo bardzo mało — nic
też innemu dać nie może, albo bardzo mało. Taka
więc jednostka nie nęci złego.

A czy wszystko to, co dotychczas powiedziałem,
nie jest złem również?

Naturalnie!

Bo wykazywanie zła bez podania na to lekar-
stwa nie jest bynajmniej dobrem. No tak... A jednak
przyznanie się do błędu, to już jeden stopień do
poprawy, czyli, że pierwszy krok w tym kierunku
uczyniłem. Spróbuję zrobić krok drugi, i może łą-
twiej z dalszemi pójdzie? A ponieważ chodzi o tak
ważną kurację moralnych dolegliwości — najlepiej
będzie poradzić się powszechnie znanej powagi.
A że nią obecnie jest Fryderyk Nietzsche, więc też
zwrócę się do niego, jako do doktora moralności.

Może w potężnej farmakopei etycznej tego filozofa
znajdę środek, receptą skuteczną.

A czy znajdę ją?

Spróbuję poszukać.

* * *

Nietzsche właśnie dowodzi, że jesteśmy niemoralni, że jesteśmy szkodliwi zarówno dla siebie, jak i dla innych, że jesteśmy tchórze, obłudni, że nawet zatraciliśmy poczucie różnicy pomiędzy złem a dobrem. On zaś jedno i drugie inaczej pojmuje, inaczej ocenia i waży.

Jest Nietzsche przeciwny kierowaniu się sumieniem, wedle naszego o niem pojęcia. Sumienie nakazuje ci słuchać tych, których nasze utarte mniemanie moralne słuchać zaleciły, np. przełożonych. A przecież to posłuszeństwo może być tylko tchórzostwem, może być słuchaniem nielogicznych lub niemoralnych nakazów, a więc jest niesumiennem. A jednak słuchasz, aby nieposłuszeństwem nie narazić bytu swego lub swych dzieci, co byłoby niesumiennem również. Jeżeli kobieta słucha pragnień swego kochanka, czyni to nieraz dlatego, aby go nieposłuszeństwem do rozpacz nie przywieść, co byłoby niesumiennem, choć usłuchanie go mogło być świadomie złe i szkodliwe dla obojga, a więc też niesumiennie. Tak wygląda w pojęciu Nietzschego ta ostatnia instancja naszego autosądu, zwanego sumieniem. Jako wynik spaczeń moralnych, naszej bojaźliwości, braku samorzutności naszej, braku bycia samym sobą, naszej zależności na każdym kroku.

Potępia Nietzsche pojęcie miłosierdzia; a więc altruizm. Gdy śpieszymy z pomocą cierpiącym, krzywdzimy ich. Człowiek powinien wystarczyć sobie, być silnym, nieosłabionym przez to miłosierdzie. Wnieść należy, że pragnie on spartańskiej zagłady słabych i wyczekuje narodzin rasy mocnych nadludzi.

Tak więc zmienia on pojęcia moralności i stawia w miejsce dotychczasowego zupełnie inny dla niej probierz. Odtrąca moralne zasady obecne jako złe — burzy chrześcijańskie tabernakulum, bo uznaje przechowywane w niem relikwie etyki, jako wynaturzone, szkodliwe, ludzkie — aby w ich miejsce nadludzkie wstawić zasady. Wszystko, co prawi Nietzsche o obecnym naszym świecie etycznym, jest głębokie. Trzeba mieć sokoli wzrok, aby dostrzedz i przeniknąć to, co dokoła nas się roi i skrzydła sokole, aby ponad to rojowisko wzlecieć wyżej i stworzyć koncepcję inną, odmienną, silną bardzo.

Ale żądania jego mądre i oryginalne mają swoją achilesową piętę, nie zanurzoną w Styksie. Ich mianowicie niewykonalność, nawet w zakresie, dodaje, względnych jego marzeń.

Na świecie są jednostek miliony i miliardy, a jego żądania stawiać można wyjątkom; a świat stanowią nie wyjątki, lecz wyjątków miliardy... Możemy wyhodować w duchowym domu karnym kilkuset lub więcej pragnących odpokutować dotychczasowe nasze moralne pojęcia. Niepodobna jednak obwieść żelaznemi kratami całej ludzkości — bo wszystkie kopalnie naszych moralnych kruszców nie starczyłyby na to. I dlatego Nietzsche, antysem-

tymentalista, twórca nowych cnót, jest spiżowo sentymentalny. I na tem polega jego niesłychanie głęboka oryginalność. Ale arcydzieło etyczne jako program bytu, jako wielki życiowy dekalog, przechodzi miarę duchowego wzrostu człowieka, choćby w odległej przyszłości. On nas pragnie uczynić etycznie genialnymi, upodobnić do siebie. W ten sposób pozbawiłby nas pierwiastku ludzkiego, tego co nas, niestety, nieodmiennie stanowi. A zmienić to nasze stanowienie nas, zdołałaby jedynie jakaś nowa, wszechprzyrodzona siła. Ale gdzie jej szukać? Skoro nawet Pan Bóg nie zdołał ludzi uczynić doskonałymi, choć to powinno Mu było przyjść z łatwością — to ludzi się Nietzsche, pragnąc nas, urodzonych partaczy, nadludzko ulepszyć.

II.

Nie należy mniemać, że Nietzsche wierzy w możliwość doskonałości naszej. Człowiek tak genialny, nie mógł być tak mądrym mało. Jemu chodzi o to, aby zburzyć obecny świat moralnych pojęć, jako zwyrodniały, obłudny, zamiast być dobrym, hartującym, wszechszczerem.

Ale o to właśnie chodzi, że etyk Nietzsche zostawił po za sobą psychologa Nietzschego. Dwa te potężne atrybuty posiadał Chrystus. A mimo to... mimo to przecież, szeregami wieków paczono i jego pojęcia. A kto czynił tak, kto je paczył? Nie my, nie rozum nasz; ale nasze nieśmiertelne ułomności

ludzkie. One są bowiem trwalszymi od arcydzieł naszego twórczego mózgu. Im nic przeciwstawić niepodobna, nie wyłączając genialnych pojęć Nietzschego, które szybciej od Chrystusowych spaczeniu uległyby.

Postawić więc sobie winniśmy jedno wszechpytanie: Czy należy doskonalić ludzi bezwzględnie, tj. bez uwzględnienia ich ułomności, czy też relatywnie, rachując się ze słabą naturą ludzką?... Z badań naukowych rozumiemy, że ludzkość przedchrystusowa od nas lepszą nie była. Gdyby nią była ona, nie przyszedłby Chrystus. Wprawdzie to, co Chrystus dał, nie udoskonalilo nas, bo nas nic udoskonalic nie jest w stanie. A to, co dał, nie było czemś zupełnie odmiennem od tego, co było przedtem. Stało się ono raczej ulepszeniem przeszłości, a o to Mu chodziło; było ono potężnem skatowaniem ówczesnego faryzeizmu — było większem i głębszem *właśnie* uwzględnieniem *ułomnej natury ludzkiej*, w mądrej sprzeczności z niewykonalną etyką żydowską. Ją zwalczał On, jej był przeciwstawieniem. Podobnie niewykonalną jak żydowska, jest etyka Fr. Nietzsche. Obie one nie uwzględniają tego, do czego człowiek stworzonym został — do złego. Obie one przewiały sobie oczy czarującą iluzją zaślepienia. Obie nie znalazły *miary* poprawienia zła.

Niema gatunkowego podobieństwa między etyką judejską a niczezańską. Etyka żydowska jest metafizyczną, nadprzyrodzoną. Niczezańską — metaetyczną, nadmoralną. Upodabniają się zaś one swemi metapojęciami i swoją ogólną niewykonalnością na

dłuższą trwałość. Różnią się zaś znacznie tem, że żydowska żąda zupełnego poddania się woli Boga, która sugestyonuje wszystkie nasze czynności i ich sumienie, a karze za opór. Niczeńska natomiast doszukuje się wyższości człowieka w nim samym, udoskonalonym i wyzwolonym z jakichkolwiek pojęć, choćby najszerzej wziętej konwencyonalności.

Ale w tem właśnie mieści się ułomność moralnej filozofii Nietzschego. W tej jego nadmoralności spoczywa wielkie nieporozumienie.

Obrońcy zaś jego pojęć, gotowi przytoczyć argumenty o niezwykłej ludzkiej sile i rozumie, mogących niemal wszystko pokonać, zmienić i udoskonalić. Bo czy z nas nie szydzonoby przed wielu laty, gdybyśmy się ludzić chcieli, że przyjdzie chwila, gdy martwa, bezmyślna, wówczas nieprawdopodobna maszyna, pociągnie za sobą na skinienie nasze, długi łańcuch ładownych wagonów z szybkością, jakiej na lądzie dorównać nie może najlotniejszy rumak? A on przecież przez samą przyrodę stworzony został. Więc nawet naturę wyprzedziliśmy. Lub, że myśl nasza na niewidzialnych skrzydłach iskry czy prądu elektrycznego przebiedz będzie w stanie tyśiące mil z błyskawiczną szybkością? A i tu prześcignęliśmy natury zjawiska. Bo choć ona każe swym błyskawicznym lśnieniom przebywać przestrzenie z chyżością, nie ustępującą naszym wynalazkom, ale tamta przesyła, co? Bezduszny, ślepy łysk. A my, myśli nasze — naszą duszę.

Posuniemy się jeszcze dalej i będziemy sztucznie tworzyć ziarna pszeniczne i owoce nie gorsze,

a może lepsze i nie mniej pożywne, jak te, które przyroda warzy w swym, jak wewnątrz ziemi, olbrzymim kotle. Wobec tego, co stworzyła inteligencja ludzka, niema potrzeby obawiać się jej dostrzegalnych kresów; bo ona posuwać się będzie bezustannie i tworzyć coraz dalsze, doskonalsze dziś Niewiadome. Ale — nie zmieni inteligencja innego w nas ukrytego świata — naszej niedoli, której najpłodniejszą matką i karmicielką właśnie, nasza słabość, nasza moralność.

Tak... bo rozumem jesteście silni, jak na nas, tytanicznie potężni; ale tak słabi moralnie, że ze słabości naszej nawet owa moc intelektu naszego nie jest w stanie nas podźwignąć. Gdyby ludzka siła moralna dorównała naszej umysłowej, stałoby się mogli istotnie kiedyś nadludźmi i rozmnożyły się wtedy na tym padole niczezańskiej radości nadczłowieczy ród Zaratustry. Ale my tylko rozumu naszego jesteście panami, tego potężnego naszego rozumu panami, a słabości naszych niewolnikami, tej własnej naszej słabości. Bo taż sama natura, którą prześcignęliśmy w wielu zjawiskach, jakby mszcząc się na nas za to upokorzenie swoje, zniewoliła nasz rozum być potężnym środkiem — do nieosiągalnego, moralnego celu. Zatem skazała nas na ciągłe szamotania i rozczarowania, na niepochwytność tych wciąż zalotnie płasających przed nami błędnych ogników, pośród mgławych bagien naszego życia. Bo rozum nasz, który rozdziela lądy, kruszy wewnątrz Simponów, nie jest w stanie zmiążyć tych bezustannie odradzających się wątych tkanek

ułamności naszych; bo one są ten nasz wielki rozum ogłupiającą siłą.

A może niemoralność, skoro jest, potrzebna jest? Może bez niemoralności ludzkiej, bez ułamności ludzkiej, bez tej matki niedoli naszej, która znów jest rodzicielką naszego uczucia — umarłoby serce nasze? A owa przeklęta niedola nasza zdaje się być właśnie więzaniem, spoidłem ludzkich dusz. A to wzruszające powikłanie naszych przeznaczeń, które niegdyś wybiegły z pandorowej puszką, stanowią przecież wielką ideę w świecie pojęć moralnych. Hart wprawdzie jest pożądanym w wielu kierunkach środkiem, ale nie może być ideałem naszych dążeń. Bo ów hart, jak go pojmują Nietzsche — wygoniłby z nas uczucie, jeden z zasadniczych pierwiastków naszej istoty. Ale nie obawiamy się tego gwałtownego wygnania. Bo ludzkość wyprawi pogrzeb uczuciu, chyba w przeddzień własnego skonu. Tak więc zło ulega osłabieniu, dzięki tej sferze uczuć, których niemiłosiernym apostatą jest Nietzsche.

III.

Są fanatycy religijni, polityczni, społeczni. Nie brak też fanatyków cywilizacji i postępu. Każdy fanatyzm, jakkolwiek, jest bielmem moralnym fanatyków żrenicy, jest mętnem i nieraz drapieżnem spoglądaniem dokoła siebie. Zawsze łożyskiem fanatyzmu będzie zaślepienie, wykluczające dwie rzeczy: rozum i dobro. I fanatyzm postępu pracuje

nieraz w imię nieomyślności swej i wszystko, co zeń jest, uważa jako logiczne i moralne. A przecież na dnie każdego postępu tkwi zaród wstecznictwa, inaczej postęp byłby zbyt szybki. Obrazowanie zaś postępu moralnego jako linii łamanej, po której cofamy się nieraz o jeden krok, aby nazajutrz posunąć się o trzy kroki naprzód, jest uświęconym wierzeniem, powtarzaniem bezmyślnie. Postęp moralny nie jest taką łamaną linią, ale zaklętym kołem zasadniczych, szekspirowskich namiętności i skłonności nieodrodnich: zmieniają się stosunki, ale niezmienną pozostaje nienawiść, zawiść, mściwość, chciwość — współczucie, pobłażliwość, uczucia szlachetne. Te ostatnie w swej wzruszającej dobroduszości usiłują, jak Nietzsche, po swojemu wmówić w nas wiarę w ostateczną upadłość instynktów złych — kiedyś. Ale to jest iluzją. Namiętności te, same przez się nie budzą rewolucyjnych kataklizmów — są one i pozostaną tylko pośrednią ich pobudką i też nie ulegają prawu ewolucyi. Nie podniesie nikt krwawego buntu przeciw złości, przewrotności lub obłudzie w moralnym (nie w społecznym lub politycznym) pojęciu zdrożności tych. Można je wśród przewrotów publicznych ukrócić; wtedy bowiem w miejsce tchórzostwa i obłudy występuje odważna szczerość, a hart zluzuje rozmiękczenie. Ale i to jedynie na pewną przestrzeń czasu, z celem temporalnego odnowienia nas — poczem zło powracać będzie pod formą inną — w zasadzie tożsamo. Nietzsche więc osiągnąłby kres swych dążeń, gdyby zdołał przeistoczyć zasadę naszych namiętności i ułomności, które

są płodną siłą wszystkich powikłanych i pokłębionych naszych zdrożnych nałogów i następstw ich — cierpienia. Ale do przeistoczenia naszej psychologii bardzo, bardzo daleko, choć jej bynajmniej nie wykluczam w następstwie niezmiernie długiego łańcucha ewolucyj.

I dziwną nieraz bywa logika moralności, stwierdzająca zresztą niemoralną zasadę psychologii ludzkiej. Oto np. wojna, zjawisko niemoralne, krwiożercze, jako motyw zaborczy — wpływa jednak umoralniająco. Moralnie hartuje wielu z tych, którzy w niej bezpośredni udział biorą, pobudza mnóstwo jednostek do poświęceń, ogólnie zaś wskrzesza współczucie, a więc uczucie nieraz przymierającego altruizmu. Przytem bohaterskimi czynami podnieca i podnosi ogólnie społeczny nastrój. Choć i ten wpływ ma wymierzoną w warunkach czasu metę.

I przeciwnie znów. Istnieje potężny żywioł idealny, który powinienby oddziaływać umoralniająco na sumienie społeczne, a oddziaływa jedynie na inteligencję naszą jako wrażliwszą i posłuszniejszą od etycznych pierwiastków ludzkich — Sztuka: poezya, malarstwo, muzyka... Niewiele epok posiadało we wszystkich artystycznych rozgałęzieniach tyle potężnych talentów, co epoka ubiegłego stulecia, zapalona wielką jutrznią idealnego romantyzmu — a zakończyła się u swego schyłku sromotnym materializmem, który jest znakiem upadku w moralnym świecie. A to dlatego, że piękny i silny dramat może nawrócić nawet zatwardziałego grzesznika — w obrębie teatralnej widowni... Gdy z niej wyjdzie

i wróci do życia, ulega znów jego wpływom, osobistym, samolubnym sprawom, oddziaływającym nań znacznie dłużej, niż przez trzy teatralne godziny. Gdybyśmy mogli całe życie przesiedzieć w teatrze, wyrosłyby może u naszych ramion skrzydła cherubów. Tak samo oddziałują poemat i również tylko w obrębie jednego lub kilku tomów, albo obraz w kilkometrowej przestrzeni złożonych ram. A najmniej chyba w tym kierunku muzyka działa, zostawia ona po sobie wrażenie pozytywnie nieokreślone. I może urokiem swym zdołałaby ukołysać w nas i uspić instynkty złe... ale na to trzeba znów przestoczyć warunki naszego bytu i przemienić nas wszystkich w Polyhymnie i Euterpy. A skulptura?...

Jeżeli nauka czytania podnosi etycznie analfabetów — czyni to raczej dzięki temu, że w jednostce z wrodzonymi złymi skłonnościami zmienia tylko kierunek namiętności i brutalne, sądownie karalne, przeistacza w popędy do czynów bodaj moralnie niemniej niemoralnych, choć często nie przewidzianych kodeksowo. A kodeks, mimo swych tysięcy i tysięcy paragrafów, nie jest w stanie odgadnąć wszystkich niemoralnych pomysłowości ludzkich; bo życie od kodeksu nieskończenie przebieglejsze.

Na czym zaś polega właściwa niezwykłość umysłu Fryderyka Nietzsche?

Gdy zwrócimy spojrzenie na owe bezbrzeżne pasma drogi mlecznej, dojrzymy, jak się mienia tam jakieś złote milczące szmery... my je widzimy, bo ich usłyszeć niepodobna. To szum ciszy, którego domyśla się wyobraźnia naszego słuchu, jak

wszechwyobraźnia domniemywa się przyczyn ostatecznych. Tak... bo ponad wielkim człowieczym rozumem, który tworzy dzieła wiekopomne, wzbija się nieskończenie wyżej jeszcze, moc naszej wyobraźni. Ona jest naszym nadrozumem, ona szóstym zmysłem naszym, bezkresną mleczną drogą naszego ducha.

I ta właśnie potęga wyobraźni twórczej jest chyba najznamienniejszą cechą umysłu Nietzschego. Pragnie on nam odłonić tajemnicę „wiecznego powrotu“, niezmiennych powtarzań wszystkich stosunków na łonie nieśmiertelnych przeistoczeń, wśród bezgranicznej przestrzeni Czasu. I nie tego, co nad głowami naszymi wydzwania godziny, miesiące i lata, ale tego, który nie ma przeszłości ani przyszłości, który jest wiecznym „teraz“, szopenhauerowskim *Nunc stans*. Encyklopedysta Diderot, jak słusznie powiada Schopenhauer, miewający genialne błyski, owo pojęcie *wiecznego dziś* plastycznie obrazuje: „Oto olbrzymi gmach, a na czole jego wypisano: nie należę do nikogo i do wszystkich. Tyś u mnie był, zanim do mnie wszedłeś — i będziesz u mnie jeszcze, gdy odemnie wyjdiesz“.

Filozoficzna twórczość Nietzschego miewa największe loty, a jego system filozoficzny posiada tę inność, że w nim już właśnie niema systemu. Bo jeśli rozwinięcie nowego filozoficznego poglądu musi posiadać pozytywny aparat dowiedzenia założeń filozoficznej idei, tj. kompozycję myślową, to duch, który świadomie lub bezwiednie ją omija, o tyle stanie ponad nią, jak wyobraźnia twórcza stanąć

może ponad rozumem, jeśli zdoła nowe potężne światopoglądy, bez potrzeby dokumentowania ich przy pomocy filozoficznej dyalektyki.

I stanął ponad nią Zaratustra... Jeśli więc on nie zbawi naszej moralnej małości, bo jest poprostu za duży na to, bo za szerokie, za rozległe ma skrzydła, przez co ona zawsze z pomiędzy nich, jako mała, mimowolnie wymykać się będzie, to może kiedyś, kiedyś, drogą wszechmocnych ewolucyj, zdoła on odkupić łamania i błędy naszego ducha, niby nowoczesny Prometeusz; ale do tego piekielnie daleko...

IV.

Istnieje ciemne królestwo leśnych drzew... Oto widzimy stuletnie sosny, wznoszące korony swe ku błękitom nieba. Szydzą one często z gwałtowności wrogich im wichrów. A pod ich dmuchem gną się w pobliżu młode sośninowe witki, zostawione same sobie wobec obojętnej macierzy, jako obraz samodzielności indywidualnej. A owe, dziś stare, choć niegdyś ich młodocianymi konarami targał mroźny wiatr, trwały i rosły w górę i spokojnie jak wryte stoją w nagrodę za swą stuletnią fatygę. Istność swoją i moc zawdzięczają własnej pracy życia. Bo każda z nich cierpiała za siebie, bez współczucia stojących obok starszych siostrzyc i matek. A wszystkie one razem, stare i młode, tworzą jeden wielki bór, jedną wielką kniejową gęstwinę, pełną odwie-

cznych tajemnic, wegetacyi, oparów, ługów i żywicy.

Takim obrazem usiłowałem uplastyczyć sobie pojęcia etyczne Nietzschego. Cierpienie własne ma być indywidualnym hartem bez współczucia, które osłabia. Każdy z nas ma być wystarczającym sobie pionem — ma być tem, co widzimy w lesie... Ale może — przez to, nie byłoby i tego, czego i w lesie niema?

Idei tam niema.

Brak też idealnym poglądom Nietzschego siły apostołstwa. Są one raczej doktryną. Gdy nawet grunt jest przygotowany, uprawiać go należy czynem, nie słowami. Trzeba czynem i wymową pociągnąć za sobą masy i duże powinowate duchy ku sobie skusić. Hus porwał za sobą królewski dwór i lud i potem z po za grobu jeszcze wychylił dłoń z jarzącą pochodnią i zapalił nią Jana Żizkę.

A Nietzsche był zupełnie samotny.

Każdy zaś apostoł wielkiej idei moralnej musi mieć zarazem ideę drugą — miłość. Bez niej, w miejsce niej, występuje antyidea, zgryźliwość — niebezpieczna, bo jałowa. Tamta musi mieć promień miłości, bez niego grozi jej ciemność, katakumby, pleśń...

A ten tragicznie ponury człowiek, bo jego filozofia radości jest właściwie pięknym abstraktem — stanął na uboczu sam, z wielkim czarnym proporcem w dłoni, pozbawionym właśnie znaku idei, nadludzki bicz, bezpłodny. A idea jest jedynym, nie więdnącym moralnym kwiatem w wielkim ogrodzie

naszego życia i zgłuszyć go nie pozwala chwastom, gdy się rozlegną w nim nadmiernie.

Hegel na łożu śmierci powiedział: „jedynie Gans mnie zrozumiał; ale i ten mnie nie zrozumiał“. Za-chodzi obawa, czy sam siebie zrozumiał Etyk — Nietzsche.

Doskonalenie ludzkich stosunków, aby zreduko-wać cierpienie, było wprawdzie dla oka naszego znaczne w zakresie szeregu wieków; ale pozorne tylko. Zmieniają się jedynie formy cierpień. Staro-żytne niewolnictwo ustało, przyszło drugie — chłop-skie, a potem trzecie — proletaryackie. Po niem zjawi się nowe, choć odmienną będzie jego postać. Toż samo z innymi wadliwościami naszego życia.

Dopóki ułomności ludzkich nie zdławimy na śmierć, nie pogrzebiemy ich w jakiejś wielkiej, nie-dopuszczającej ich wskrzeszenia, mogile — cierpie-nie nas nie opuści. Bo ono jest nieodstępnym cie-niem ułomności naszych, moralności naszej. Choćby najradykałniej zmieniły się rozumienia pojęć moral-nych, czy dobro jest dobrem, czy zło — złem, czy dobro — złem, a zbawiennem — zło, jak chce Nietzsche po swojemu, — wszystko to naszych cier-pień nie zmieni, choć niewątpliwie zmieniają się po-zory i postacie ich *).

*) Jeden z niewielu mężnych i głębokich a zarazem prze-zornych u nas obrońców Nietzschego, J. N. Szuman, cytuje Szekspira: „są grzechy zbrojne w przywilej na ziemi“, cytuje Bajrona (Korsarz), Dostojewskiego (Zbrodnia i kara) i innych ja-koby pobłażliwych spowiedników grzesznych dusz. Czy te cy-taty nie są zbyt ryzykownym argumentem na obronę Fryderyka

W świecie moralnym jesteśmy ofiarami brutalnego przyptywu i odpływu olbrzymiego oceanu pojęć, jesteśmy pastwą ciągłej akcji i reakcji. A nie dopatrujemy się przecie stopniowego moralnego doskonalenia w tem, że historia w swych przystępnych dla nas zaczątkach, daje nam zwykle zarania po mrokach, bo nie wiemy, co *przed tymi* mrokami było, a może ich nie było... a bezwzględnej pewności niema, czy kiedyś nie wrócą.

Grecki filozof rzekł: wiemy to, że nie wiemy nic. Może należałoby sobie powiedzieć, że wiemy wszystko, co wiedzieć jesteśmy w stanie, bez tych złudzeń odległych naszego doskonalenia. My doskonalimy właśnie tylko złudzenia nasze; nie samych nas. Obracamy się bezustanku w niezmiernie ograniczonym kołobiegu i tylko niespożyta wyobrażenia nasza ramiona jego rozszerza i rozszerza. Żadna z postaci i ze zbroczeń naszego etycznego życia nie uległa przetworzeniu na lepsze.

Czy nasze podniebienie mniej lub inaczej jest łąknącem trujących słodyczy niż przed tysiącem lat? Czy wątroba przestała żółcią swoją zraszać najlepsze nasze chęci? Czy płciowe nasze chcenia zmieniły na-

Nietzsche? Dlaczego poetyccy ci spowiednicy otaczali niejako opieką swych penitentów? Nie dlatego, że byli czcicielami zbawienności zła, ale dlatego chyba, że zadaniem poety stanąć ponad zła pojęciem: budzić grozę i współczucie. Jako kapłani sztuki, mieli przywilej zdradzania tajemnic konfesyonału, choć może nie wierzyli w skuteczność przykładu pokuty, bo odczuwali słabość natury naszej, wiecznie ułomnych stosunków ludzkich.

turej swej nieraz najprzewrotniejszej pożądlivości? — Nie. Czy po tysiącach lat śmiejemy się łzami a płaczemy śmiechem? Nic się nie zmieniło. A piękne metamorfozy widome dla naszego oka lub myśli naszej, to zmiany istotnie wielkich pozorów, to zmiany tragicznych dekoracyjnych malowideł, bo zasadnicza akcja sączy się w szczelinach naszego życia, skupiona, ślepa, nieubłagana, niezmienna...

Czyżby więc dlatego należało może wykląć złudzenie etyczne, jako złudne? Nie. Nie, mimo wszystko. Wytępienie go, o ile by to było w sile czyjejs, sprawy w niczem nie zmieni. A pożytecznem złudzenie, jako wielki puklerz otuchy przeciw zniechęceniu i opuszczaniu rąk.

Wprawdzie drobne złudzenia szkodzą nieraz, bo przynoszą rozczarowania i zawody. Ale największym katem ludzkości byłby ten, ktoby usiłował i potrafił zgasić tę magiczną latarnię wśród zawodnych fal naszego życia... Tylko rzeki płynąć mogą bez złudzeń, tylko kwiaty bez nich rosnać, tylko góry sterceć... Czy istniałyby dzieła sztuki i czemby one były, gdyby nie złudzenie, z którego są niepokalanie poczęte, a wzamian dają nam widzenia, pełne istotnej rozkoszy. Jest ono najwierniejszym i nieprzeniewierczym sojusznikiem wszelakich religij i wzrokowi naszemu użycza dalekonośnych spojrzeń. Wyginęłaby cała wielka rzesza małych, bez złudzeń — bo cierpi i dlatego tak do złudzeń skora. Gdybyśmy nie cierpieli — lekceważylibyśmy złudzenie. I ono więc jest w swoim rodzaju piękną prawdą, mimo swego kłamstwa. Jedynie umysły prawdziwie

wielkie nie łudzą się, bo nie cierpią. Śród rozpaczy nawet, znajdują wciąż kojenie w uczuciu wielkości swej, w ogromie swego myślenia, w niezmiernem samopochlebstwie, w swej próżności cudownej. Ich cierpienia, jeśli to konieczne, są przelotnymi, porodowymi bólami, bo mają krótką pamięć bólu a ciągłą swęj wielkości.

V.

W dziejach myśli ludzkiej Nietzsche jest jedyną o ponurych promieniach *optymistyczną* duszą. Owa Eklezyasty „próżność nad próżnościami“, wydawać mu się musiała chyba lichą hypokondryą schlastanego, zidyociałego mędrca. I szukał też Nietzsche dokoła siebie pokrewne sobie silne dusze, które dostrzegał w odległych kresach przyszłości. A dokoła siebie widział tylko szyderczych psychiatrów, którzy badali jedynie jego osłabione odruchy kolanowe, bo nie potrafili sięgnąć do wysokości jego mózgu, w którym tkwił nadludzki *sui generis*, ideał.

Ale co zyska ludzkość, gdy przyjdzie dziwne królestwo Nietzschego na ziemię? Gdy przyjdzie panowanie rodu nadludzi? Nastąpi tylko odmiana postaci hierarchij życia, powtórzy się odmiana stosunku patrycyusza do jego skulonych niewolników. Despotyzm wrodzony indywidualistów jest częściej drapieżny, niż zbawienny, a nie chodzi tu o indywidualistów literackich, artystycznych. I Kaligula i Neron i Iwan Groźny byli nimi. A indywidualizmy tych

w dziejach pojęć moralnych przeważają nad tymi, którzy dobro dali. Duży albo mały cesarz, niepodległy pater familias, raubritter, polscy królewicze, szefowie wielkich fabryk. W świecie kobiecym były to zwykle zarazem despotyczne zalotnice, kapłanki, palające ogniem niewieściej erotomanii: Kleopatra, Agrypina, Nina Lenclos, markiza Pompadour.

Wszyscy oni byli i będą wykwitem poczucia swej mózgowej wyższości, a nawet bodaj nie odbiegają tak bardzo od ideałów niemieckiego filozofa. Zwykle oni, spiesząc do celu, w sposobach nie przebierają, bo w zaślepieniu nęci ich jedynie kres, a lekceważą drogi, do niego wiodące. Cechę znamionową osobowości tych uwydatniają nietylko ich ofiary, jednostki pokrewne, drobne lub odporne; lecz od nich słabsze; ale i przeciwpokrewne im indywidualności wklęsłe, nieraz od tamtych wyższe, dusze patetyczne bezczynne, osobowości melancholijnej myśli i cierpień. Z tych pożytki bywają prawie żadne; bo im brak wykonalności zamiarów i brak im zdolności nieprzebierania w sposobach, umiejętności łamania trudów do dobrego celu.

I przeciwnie znów. Mimo wszystkich zachęcających objawów — demokratyzm nie zapanuje szeroko a stale; bo indywidualizm w samopoczuciu swej wyższości temu przeszkodzi. Oba one:

indywidualizm i demokratyzm walczyć ze sobą będą zawsze ze zmiennym tryumfem. Dążenie do przewagi silnych indywidualizmów ścierać się będzie z rutyniczną psychologią rzeszy, nie uwzględnij jej mocy przyrodzonej, lekceważać i eksploatować

ją zechce. Demokracja zaś zapomina o naturalnych pędach osobowości ludzkiej, o jej śmiałości i rozumie, o jej przygotowywaniu intuicyjnym lub świadomym przełomowych zwrotów. Przeznaczenie indywidualizmów spoczywa w ich społecznych lub ogólnych misjach — demokracji w równych prawach do życia.

Mniemać tedy należy, że gdyby psychologia silnych osobowości pod wpływem moralnej ewangelii Nietzschego, zdołała kiedyś urosnąć do miary jego żądań etycznych — stanowić ona będzie nadludzką sektę, którą prędzej czy później, silnie obrażone słuszności ludzkie osłabiają, same przez to bynajmniej nie odnosząc trwałego zwycięstwa.

Tak wygląda tragiczna twarz moralności świata.

Czy więc ostatecznie, o ile nie usłuchamy przykazów Zaratustry i pójdziemy dalej drogą naszego zepsucia — zginiemy? Jestto pytanie, które zależy winno od tego, czy istotnie jest tak źle, jak on głosi, czy to zło jest aż tak złem, że należałoby je wyważyć z posad a nam potem bez usłuchania Jego nakazów sił nie starczy? A więc prosto: czy obłuda jest naprawdę czemś tak szkodliwym, że w nią aż jowiszowymi gromami walić trzeba? czy tchórzostwo przewinieniem tak wielkim, żeby nam odmawiać za nie praw moralnych? Czy nasze duchowe rozmięczenie tak zdradliwe, że gwoli temu należy wyrzucić do góry nogami cały świat moralnych pojęć?...

Jeżeli tak jest — istotnie jest?.. to szali, na których to grzeszne brzemie nasze zważyłoby należało i jemu wymierzyć sprawiedliwość — nie podźwigną

dłonie największego nawet myśliciela. Odmiennych na to trzeba sił, odmiennych ramion i serc. I one zjawiają się, gdy na nie przychodzi pora, aby duch nasz do reszty nie skarłał, aby nas podnieść, chociaż zawsze tylko na pewną metę czasu, którą zakreśla psotliwy szatan ułomności ludzkiej.

Zaratusstro! u Twych promiennych stóp, składam zapytanie!

Jeśli zajrzemy w martwe oczy niedawnych w Hiszpanii wolnościowych ofiar, czy dostrzeżemy w nich tylko wygasłe źrenice a nie ogniem płonące idee poświęcenia, niczezańską właśnie szczerłość i hart ducha? Gdzie tu obłudza, tchórzostwo i niedołęstwo serc? A czy pozostałych przy życiu dramaty te nie odnawiają, nie hartują?

Bo zapomniał Nietzsche, że życie nasze składa się z dwóch bezustanku luzujących się osi: jedna jest śmiertelnym grzechem — druga krwawą pokutą odnowienia. Bo zapomniał On, że ludzka krew, brukana wiekową zmazą, w tej samej krwi płucze się i czyści. Śród jej fal wypływa na jej powierzchnię z głębin społecznych brudna piana i ją ręka idei odgarnie i usunie. A On mniemał w łatwowierności swej, że gwoli odrodzeniu należy ludzkość chłostać drogocennym sznurem dyamentowych aforyzmów. Gdyby nimi można reformować ją, nie trzeba by jej wcale reformować, bo byłaby ona niemniej piękna od nich — bez nich... Ale zszargane sumienie nasze pierze się u stóp Golgoty, u ogniowych husyckich stosów, w pomrokach Nocy św. Bartłomieja, którą nieustąpiła krew po wiekowych wrzeniach

purpurą swą rozwidniła. A takich nocy i takich rozwidnień było więcej.

Ale on o tem właśnie zapomniał zupełnie; bo pamiętał tylko o sobie, bo za siebie tylko cierpiął — nie za miliony...

Działającej w ustroju przyrody energii nie możemy zmniejszyć ani zwiększyć. Możemy ją rozdrabniać lub przenosić z jednego ciała na drugie i tak też czynimy. Ale suma wszechogólna energii tej — pozostaje niezmienną co do atomu.

Podobnie w świecie moralnym, całość szczęścia i niedoli, owa kosmiczna energia ludzkiego ducha, jest w ilości swej niezmienną. Obiega zmiennie przed wzrokiem naszym Koło Fortuny; ale wymiar jej obrotu jednakim pozostaje. Możemy być dziś szczęśliwi a jutro z obrotem koła naszych moralnych stosunków klęska nas spotyka. Lecz ona jednocześnie daje innemu pożytek. I przeciwnie, korzyść nasza innym stratę przyniesie. I ta walka dla odparcia grożącej krzywdy, zwycięzka lub niepomysłna, jakby usiłująca naruszyć równowagę w świecie szczegółów moralnych, nie zmieni wszechsumy pożytków i klęsk, dokoła których roją się serca ludzkie, dokoła których one radują się lub płaczą.

Wobec tego igrzyska ludzkich przeznaczeń, prorokował Fryderyk Nietzsche uszczęśliwienie nadludzi, marzył o skupieniu w nich lwiej części szczęścia, kosztem reszty — tych *kał' exochen* uprzywilejowanych przez naturę, drogą psycho-etycznego doboru, tych homofagów, niczeanów, moralnych i społecznych ludożerców.

I tak miałyby kiedyś wyglądać obraz postępu moralnego, tak przeistoczenie dotychczasowej kalekiej etyki?

* * *

Skończyłem wprawdzie — a jednak nie zupełnie jeszcze. Skończyłem z logizowaniem, które mnie za rękę wiodło; ale nie załatwiłem się z sumieniem, z ową *conscientia*, choć ją Nietzsche tak lekceważył i usnęła ona w duszy Woltera, gdy Szekspira barbarem przezwiał.

Gdy więc czytasz słowa Nietzschego, tego nowoczesnego oprawcy zdrożności ludzkich, tego orędownika nadludzkich przyszłych cnót, w głębinach duszy drga... Może to drganie oryginalnej Bezmyśli, a może drganie Prawdy? Bo wszystko, co on mówi jest tak niezwykle, tak nadzwyczajnie Inne, że należy mu się droga do probierczej instancji potomości. Zanim Kopernik przyszedł, nikt nie wątpił, że Ptolomeusz miał słuszność. A jednak wierzymy dziś, że świat nasz i inne planety dokoła słońca obracają się — a Nietzsche wierzył, że i świat moralnych pojęć nie stoi na miejscu...

Warszawa 1906 r.



FEMINA NOVA.

I.

Kobieta była największą dla mężczyzny ponętą i wielką kusicielką poezyi. Nietylko różnica płci, jej powabna odmienność brała męskie zmysły i serce w niewolę, ale i odmienność jej społecznego położenia, jej duże przywileje, — płynące z braku przywilejów. Hołdy, składane niewieścim wdziękom w życiu i literaturze, wzmagaly się tembardziej, że społeczenie budziła brakiem opieki prawnej, że owoce spólnego grzechu spadają na nią wyłącznie całym swem brzemieniem, że mężczyzna i w tym kierunku dzięki społecznej i prawnej swej przewadze zwykle obroną wychodził ręką. Są nieszczęścia, które spotykają wszystkich: mężczyzn i kobiety, młodych i starych, biedaków i bogaczy; bo nieszczęście jest bardzo demokratycznym pojęciem. Ale jest i takie, które spotkać może kobietę tylko. W tem wina ludzkich urzędzeń, korzystających z winy przyrody.

Ale też i kobieta za krzywdy swe mściła się: zalotnością, płochością, nieraz graniczącą z okrucieństwem. Bo w stosunkach społecznych naruszanie ich sprawiedliwej równowagi mści się... Choć te nie-

wieście zemsty bardzo nie dorównywały winie męskiej. Odgradzona, samotna, miała wiele czasu myśleć nad udoskonaleniem swych wdzięków zewnętrznych i duchowych darów nad zużytkowaniem swych pożądań i próżności. A były one z konieczności intensywne, bo jednostronne — gdy męskie dążenia pochłaniało różnostronne życie. Mężczyzna był człowiekiem w dobrej i złej osnowie tego wyrazu — kobieta była tylko sobą. Gdyby stosunek był odwrotny, gdyby mężczyzna mieszkał w odgradzeniach beczynnie, a kobieta działała — on, skazany na towarzystwo własnych rozmiękczonej i osłabionych nerwów, stałby się przedmiotem ubóstwiania kobiety, jej zmysłowem bożyszczem, choć nie jej panem; bo nim i kobieta w stosunku do niego nie była ostatecznie.

Zmiana warunków ekonomiczno-społecznych zmienić musi kobietę, zakres jej myślenia i kuszenia. Wtedy będzie ona, jak dotychczas, spełniającą swe posłannictwo specjalnie kobiece; ale przestanie być sfinksem dla zbałamuconej wyobraźni męskiej; będzie działała i pracowała z mężczyzną na równi.

Chyba nie ulega zaprzeczeniu; a temu rozumne kobiety przyznają, a ponieważ żadna do nierozumu nie przyzna się, wszystkie przyznają, — że rozum kobiecy jest bliższym jej serca. Jest to rozum usercowiony, co zresztą mimo wszystko, jak to w wpływie tych rozmyślań zobaczymy, oddziaływać musi na przyszłość losów ludzkości.

Swoją zaś drogą, choćby kobieta dorównała mężczyźnie w bardzo znacznej mierze, o czym ja

przynajmniej nie wątpię, stanie się to dzięki jemu; bo on stworzył wszystko, z czego ona korzystała dawniej niebardzo, a z czego dzięki równym prawom korzystać będzie w pełni całej. Twórcą cywilizacji naszej jest mężczyzna, wynalazków, sztuk, arcydzieł artystycznych i różnych niegodziwości również on. Ona zaś przychodzi do gotowego, i to gotowe, cudze, męskie sobie przyswoi. Czyli że tem, czem będzie, zawdzięczy i jemu, a nietylko sobie — jak do niedawna krzywdy swoje, upośledzenia, jemu też zawdzięczała.

Jedną z najpotężniejszych przemian, spełniających się w oczach naszych, jest reforma życia kobiecego. Nie jest to bowiem tylko przeistoczenie pokoleniowe, moda, przeistoczenie nawyków i obyczajów z pokolenia na pokolenie. To potężna transformacja wadliwości praw, uświęconych szeregami bardzo licznych stuleci. Jest to zamiana nie mniej doniosła, jak emancypacja jakiejś klasy społecznej, np. chłopów lub proletaryatu. Tamta działać będzie najbezpośredniej, choć bez nieszlachetnego przelewu krwi. Bezpośrednia pokojowa walka, na różnych polach, konieczne przeistoczenie pierwiastków wychowawczych, obyczajowych, moralnych, ekonomicznych i prawnych. A ponieważ to nie jest właściwie walka międzyklasowa; ale ogólna, półogólna, więc przeciwnej stronie męskiej uszczerbku nie przyniesie, jak w walce klas.

Stosunki rodzinne również ulegną i już uległy przemianie. Mnóstwo obecnie jest rodzin, gdzie małżonkowie, on i ona, po za domem pracują, zjawisko

znane do niedawna jedynie w klasie robotniczej. Taki układ stosunków stwarza nowe formy współżycia i nie tylko między małżonkami, ale i w stosunku do ich dzieci. Z konieczności wśród tych wcześniej rozbudzić się musi samodzielność, dotychczas bezwzględnie otoczonych, zwłaszcza dziewcząt, opiekuńczymi piórami matczynych skrzydeł. Jednym z następstw tego zmienionego stosunku: poważniejsze pojmowanie warunków, wymagań i obowiązków życia, hart i samoistność.

Już obecnie wytworzyła się sytuacja, że młoda, moralnie bez zarzutu panna w jakimkolwiek interesie odwiedza mężczyznę, nieraz samotnego. Nie ubliża to jej, a jego nie ośmiela do wykraczania po za sferę interesu, z jakim zjawiała się panna. U nas w znacznej mierze tę reformę rozbudziły ostatnie stosunki rewolucyjne, które zniewalają do częstych schadzek młodych ludzi płci obojga. A pobudka jest zwykle od flirtu odległą.

Również jednym z zasadniczych momentów, jakie wpłyną na reformę stosunku obojga płci, jest reforma początkowego nauczania, — koedukacja, która niemal w zaraniu życia oswaja ze sobą dzieci i przy odpowiedniej organizacyi przyszlą ponętę owocu zakazanego osłabia.

Niejednokrotnie uderzano na te emancypacyjne zjawiska, jako na szkodliwe, jako na przeinaczające naturę kobiecego przeznaczenia pod względem moralnym, wychowawczym i społecznym. Niejednokrotnie zbijano te zarzuty.

Ale siła nawyknięcia jest tak potężną, że nawet

w krajach kulturalnych opór stawia energiczny, np. w Niemczech i we Francji. Lecz właśnie w obu tych krajach konserwatyzm we wspomnianym kierunku jest odstrasżający, bo nie tylko nie powstrzymuje, ale raczej wzmagająco działa na złuznienie moralnych obyczajów, wbrew zachowawczym złudzeniom. Bo Prawda usiłuje torować sobie drogę prostą, naturalną, choć nieraz cierniami usłaną; gdy jej ten pochód powstrzymywać będziemy — zjawić się musi fałsz, obłuda, aby ją, Prawdę, niegodnie zluzować.

II.

Zdawało się dawniej, że kobieta stworzona jest do tego, żeby, doszedłszy do lat 18—20, z założonymi rękami czekać na męża — zdawało się, że tem, czem była, powinna być nieodmiennie i zawsze: tylko panną, narzeczoną, matką. Trzy te fazy, jak wszystko, co ustalone w stosunkach ludzkich, obok prozaicznych swych nieodzowności, miały swoją poezję. I ten właśnie tradycyjny, poetyczny powab, tak buntuje nas przeciw feministycznemu nowatorstwu. Ale i pod tym względem jesteśmy niepoprawnymi ofiarami nieporozumienia. Najbardziej nam żal poezji ustalonych obyczajów, chociaż temi wreszcie dziwić się niepodobna. Jeszcze dziś znaleźć można serca, wzdychające do miłej epoki Klementyny z Tańskich Hofmanowej. Bo poezya jest niewątpliwie najpiękniejszą duszą życiowej prozy. Jak wszystko, co mięło lub mija, choćby przykre, we wspomnieniu na-

biera nęcącego wdzięku. Jakże więc nie uznawać, nie bronić tego? Jak burzyć to, aby w miejsce zburzonego budować inne, nowe, pozbawione wspomnianego pierwiastku poezji? Zapominamy jednak właśnie, że owe pierwiastki ustalonego życiowego obyczaju nie dlatego mają dla nas taki powab, że same w sobie są powabnymi. One są takimi dla nas dlatego, żeśmy im tego powabu użyczyli, żeśmy je powabem naszego serca i wspomnień upięknili. W tem spoczywa niezmienny motyw walki pierwiastków tradycyjnych z nowatorstwem, choć się to płacze zarazem z właściwym naturze ludzkiej lenistwem. To, co za naszych młodzieńczych czasów było złem, przestało w naszym odczuwaniu być złem, bo przestało istnieć; zresztą nie dla wszystkich ono złem było, a zwykle spleta się z dobrem i tak się z niem miesza, że go we wspomnieniu od dobra nie rozróżniamy prawie. A do czego jest złudzenie? Łudzimy się wogóle, rojąc o przyszłym jutrze, tem łatwiej łudzić się, że to, co było złem, dobrem było. Tylko śmiertelne rany nie goją się lub czynią to pozornie, zostawiając w sercu naszym niezabliźnione, moralne zrosty.

Zrozumiejmy, że przodkowie nasi więcej od nas poezji nie mieli; że nie posiadali oni wyłącznego daru upięknienia wyobraźnią swoją panujących towarzyskich i społecznych obyczajów i praw. Już coś o tem wspominał Łukasz Górnicki w swoim „Dworzaninie“. Dar ów posiada niewątpliwie każde pokolenie. Bo nietylko mową i rozumem od zwierząt się różnimy, ale i poezją. Nie należy sądzić, że nowy

obyczaj, jako spreczny z przemijającym, urobionym, użytym, wygodnym, będzie bardziej prozaicznym od mijającego; mniej od niego ponętnym. Będzie on tylko takim dla nas mijających, nawykłych do żalowanej przeszłości. Bo każda epoka obok okrucieństw ma swój powab, swój wdzięk, choćby nawet nasiąkła była krwią ludzką. Gdy przysłuchujemy się reminiscencyom w powieściach lub dramatach z epoki rewolucyi francuskiej — ile tam ujmującego wdzięku. Gdy przysłuchujemy się granej na scenie komedyi Sardou „Helena de la Seiglière“, przez myśl nam nawet nie przechodzi, że to sytuacye, którychby nie było bez ocalonej od gilotyny emigracyi francuskiej i obyczajowo-prawnych powikłań. Wątpliwości nie podlega, że po pewnym szeregu lat, to, co teraz trwa, a potem będzie minionem, zbudzi w nas z przeszłości swej teźsame, co w sercach przodków naszych, uczucia. Tęsknota, jej tajemniczy urok za tem, co dawne, co niepowrotnie minęło, jest niewiedzącym kwiatem, odświeżanym rosą wspomnień. A jednak potępienie przeszłości wobec postępu jest potępieniem samej istoty człowieczej; bo dzisiejsza chwila będzie dla odleglejszego jutra znów potępienia warta. Tylko doświadczeńsi jesteśmy od naszych przodków, ale nie lepsi; a potomność nasza będzie doświadczeńszą od nas — lepszą nie. Po nowem dobru pojawi się nowe zło, nie ponętniejsze od wczorajszego, bo ono zawsze jest złem jednak. Nasz optymizm, nasz niezębny zapal jest, bezwzględnie wzięwszy, właściwie ciągłym nadrabianiem miną, jest właściwie bezustan-

nem chwytnościem deski ratunku. Wciąż się gubimy i wciąż w pewnej mierze ocalamy się; bo to jest istotną osnową naszych przeznaczeń...

Ciekawa rzecz, jak cała owa przemiana niewiedzących stosunków wpłynie na nastrój wzajemnego współżycia kobiet i mężczyzn? Czy wskutek tego, jak myślą zachowawcy, tak zwana moralność upadnie, czy też przeciwnie, zgodnie z postępowem dążeniem, stanie się naturalniejszą, prostszą, a przez to może i zdrowszą? Zdaje się być niewątpliwem, że mnożenie osłon mnoży zło; bo im ich jest więcej, tem bardziej rozkuszona i natarczywsza staje się wyobraźnia i zaciekawienie. Wszystko zależy od tego, czy ludzkość osłoniła swoje ciało przed chłodem i deszczem, czy też i przed natrętnymi żrenicami? Jeżeli i przed niemi, to jesteśmy, mimo naszej osłoniętej wstydlivosti, bezwstydniejsi od zwierząt, które choć nie osłaniają się wcale, przecież nie znają, w pojęciu naszym, rozwiązłości obyczajów. One więc nietylko brakiem mowy od nas się różnią i nietylko brakiem poezji, ale i brakiem tego, czego nam, niestety, nie brak...

W stu erotycznych stosunkach bardzo przeważa ilość odważnych Putyfar, choć Józefów jest nader niewielu. To też męski donzuanizm często płynie z nęcących źródeł ośmielającego putyfaraizmu. Wątpić nie można, że współczesne przemiany społeczne zrodziły, zapewne przejściowo, inną kobietę, mniej więcej nienormalną — obok dzielnych, historyczną, przemijającą. Spostrzegamy to i w beletrystyce, w lustrzanem odbiciu życia. Ale to nie ich wina —

to wina odgradzenia. Każde stworzenie ludzkie usiłuje przegrody łamać, o ile one mu przeszkadzają widzieć i poznać to, co widzieć i poznać ma prawo. Ale zanim skutecznie to łamanie — zanim przełamię, zwycięży — często kaleczy ręce, oszpeca się grzeszną krwią, oszpeca się złem. A każde wielkie a wbronione dobro złem się okupuje; bo ze złem walczy i nieraz jego bronią walczy. Ów histeryzm nie jest właściwie bronią zdobywczą, ale nieuniknionem lataniem wiórów, jest jednym z objawów kobiecej rewolucyi, jest anarchią, szpetnym promieniem samej przez się idei pięknej, idei równości, równych praw.

III.

Zachodzi pytanie właśnie, czy nastąpi pod każdym względem zrównanie, choćby nawet zewnętrznych przeszkód nie było? Zobaczmy, czy umysł kobiety dorówna męskiemu bezwzględnie? Czy tylko wskutek zaniedbania go nie dorównał męskiemu dotychczas? Tak należy przypuszczać, gdy chodzi o wiedzę w jej rozlicznych rozgałęzieniach, gdy chodzi o poważne kierunki publicznego życia; a tu i tam trzeba wyższego wykształcenia, ogólnej lub fachowej wiedzy, a te były dla kobiety zamkniętym Sezamem, nieprzystępnym, którego bramy coraz szerzej bezwarunkowo otwierać się będą. Tu zapewne kobieta dorówna mężczyźnie, potrafi stworzyć sy-

stem filozoficzny lub zrobić odkrycie, jak Curie-Skłodowska.

Ale są dziedziny duchowego procesu i to nie byle jakie, które wprowadzie wiedza wzmagają, potęguje, ale nie jest jego nieodzownym, zasadniczym warunkiem. Mówię o procesie artystycznego tworzenia, również w różnych jego rozgałęzieniach. Tu bez wrodzonego, specjalnego ustroju duchowego, wiedza nic nie zdziałała, a nawet czasami zbrzdzi.

Prawie wystarczy umiejętność czytania i pisania, aby stworzyć poemat, jeśli twórca posiada duży wrodzony talent. Co do literatury, nie brak wśród kobiet wybitnych talentów. Słynęła niegdyś George Sand; a wreszcie i u nas Drużbacka, Żmichowska, Deotyma, Marené-Morżkowska, Orzeszkowa, Ilnicka, Konopnicka, Ostoja, Rodziewiczówna, Walewska, Zapolska, Hajota, Krzyżanowska i inne młodsze, posiadają talenty literackiego tworzenia i one dawały nam beletrystyczne i poetyczne dzieła niepospolitej wartości i trwałości. Rzecz przedziwna. Na czele poetek ubiegłego i bieżącego stulecia w literaturze świata należy postawić trzy poetki: Żmichowską, Deotymę i Konopnicką. Żadna z obcych dotychczas tym nie dorównała. A proszę mi znaleźć wśród autorek owej powszechnej literatury umysł tak piękny, jednolity, harmonijnie wzniosły, jak Elizy Orzeszkowej. Jeśli więc ci czterej ludzie: Żmichowska, Deotyma, Konopnicka i Orzeszkowa, nie pomijając zastępu innych niepospolicie utalentowanych polskich kobiecych pisarzy — dali nam tyle z epoki społecznego ścieśnienia kobiet — to naprawdę roić wolno na

przyszłość, niezbyt odległą, o pojawieniu się licznej falangi działaczy i twórców niewieścich i znacznych następstw tych działań i tworzeń *).

A jednak wszystkim im, naszym i obcym autorom brak dwu rzeczy w dużym pojęciu tego słowa: silnej indywidualności wogóle, specjalnie zaś brak im humoru. Owa silna indywidualność polega na potędze uczucia i namiętności, na myślowej głębi i na stylu. Żadna z nich dotychczas nie wykazała mocy, którą sięgnęłaby do dna naszej istoty, która odsłania najgłębsze tajemnice psychicznego wrzenia. Porywają, olśniewają, wzruszają piórem swem — ale żadna nie uczyniła wyłomu w okresach literackiej twórczości, nie rozwarła wierzejów na nowe piśmiennicze widnokęgi. Żadna nie stworzyła pieśni Danta, dramatu Szekspira, wstrząsających piorunów Słowackiego, lub jego olśniewających promieni i uroków, choć niejedna z nich posiadała większą od Juliusza wiedzę. A owa siła indywidualna objawia się w potężnym stylu indywidualnym, co stanowi twarz boskiej muzy. Podobnież brak im humoru w tworzeniu. Posiadają go, jak i dowcip, w towarzyskim życiu, a przecież nie dostrzegamy go w odpowiedniej rozległej sile w odtwarzaniu tego życia — w sztuce. To też wogóle nie wydały one potężnych kreacyj, któreby uwięzły w naszych duszach jako prototypy psychologii ludzkiej,

*) Poważam się zwrócić uwagę na tę okoliczność literatów niemieckich, włoskich lub francuskich, interesujących się polskim piśmiennictwem. Winniby oni sprawę tę podnieść jako znamienne.

jako Hamlet, jako Lear, Don Juan, Don Quichot, Harpagon, Konrad, Manfred, Faust, Julia, Małgorzata itd. Nawet niewieścich postaci, które zdawałyby się lepiej od mężczyzn znać powinny — a przecież tamtych w dziejowym życiu nie brakowało: św. Genowefa, Joanna d'Arc, Elżbieta, Katarzyna, Karolina Corday — jednak wyobraźnia twórcza kobiet obok tych zjawisk przechodziła prawie bezpłodnie. Te zaś dziedziny tworzenia przystępne były dla każdego, bez względu na płeć i w tych dziedzinach tworzył mężczyzna arcydzieła w epokach powszechnego analfabetyzmu.

A Muzyka, która w pierwszym rzędzie oddziaływała na nasze uczucie, na pierwiastek psychiczny, którego przecież kobiecie nie brak — nie wydała niemal żadnej wielkiej kompozytorki. I tu, jakkolwiek z tak zwanych nauk, filozofia, matematyka, wiedza przyrodnicza może być zbyt cenna, a przecież do fortepianu kobiety przystęp miały i bardzo licznie, aż nadto może uprawiały go — ale twórców między nimi niema. Mozart, Gluck, Beethoven, liczna falanga Bachów z wielkim Sebastyanem na czele, Haydn, Hendl, Rossini, Mendelssohn, Chopin, Wagner itd. itd. nie więcej strawili czasu przy fortepianie od tysięcy i tysięcy kobiet. A jednak?...

A malarstwo? Wieki średnie, prerafaelici, renesans, cały zastęp potężnych malarzy i rzeźbiarzy włoskich, hiszpańskich lub niemieckich. Do tego procesu tworzenia nie więcej wiedzy potrzeba, jak do muzyki. A całe rojowisko holenderszczyzny nie-raz z inteligencją małomiejskich jarmarcznych koł-

tunów: Ostade, Dow, Steen, Teniers, Metsu, Ga-bryel itd. w ich drobnych figurkach pociesznych, ten potok uplastycznionego humoru, obok holer-derskich potentatów, Rembrandta, Rubensa, Van Dyka. Niema potrzeby wymieniać nazwisk mistrzów z ubiegłego stulecia, których był legion w Europie. Ile jest muzeów, zbiorów i galeryj prywatnych i pu-blicznych w mniejszych i większych miastach kon-tynentu? Kobiety w owych wszystkich epokach i ga-leryjach, nie było i niema żadnej.

A przecież mimo tak imponujących faktów nie mogę przejść nad tą sprawą do porządku dziennego, i winienem jeszcze chwilę nad nią zastanowić się.

Psychologia artystycznego tworzenia dotychczas dokładnie zbadaną nie została, co wreszcie sztuce żadnego uszczerbku nie czyni.

Zachodzi więc pytanie, czy istotnie, aby zostać twórcą, wystarczy mieć wrodzony talent, czy on nie jałowuje, nie słabnie, nie gaśnie przy braku uży-zniających go pierwiastków właśnie zewnętrznych. Bo chodzi mi nie o naukę — ale o życie samo, które daleko większy w procesie tworzenia udział bierze, od wiadomości naukowych — te właśnie wiadomości życia; te mniejsze i wielkie przeróżne wrażenia, które były dla kobiet nieprzystępne. Jedy-nym obszarem, małym obszarem, spostrzeżeń i wra-żeń było gynecceum, salon, izba, niańczenie, krosna, gitara, klawikord. Takie warunki bezpośredniego okolenia od niemowlęctwa do późnego wieku, nie mogły na umysł ludzki, jak tym razem kobiety, nie oddziaływać osłabiająco, zwięzająco, jałowująco w kie-

runkach, o jakie nam chodzi. Gdy mężczyzna oddychał pełnymi płucami i ssał mleko i krew z piersi właśnie tego potężnego życia, wchłaniał jego przeróżne zjawiska i w nich bezpośredni brał udział, a kobieta żadnego, gdy zbogacał swój umysł, olśniewał swoją fantazyę błyskawicami społecznych faktów, walczył, ginął, zwyciężał, grabił, dopuszczał się czynów szlachetnych i nikczemnych, kodyfikował prawo i bezprawia spełniał, ziemię zraszał krwią, tworzył i burzył, zakładał państwa, a współzawodników skazywał na zagładę, odkrywał nowe lądy i oceany, autochtonów tępił, nawet religie fundował, a w tem wszystkim mózg swój wysilał zwycięzko — wtedy, wtedy ona wobec tego olbrzymiego widowiska, odgrozonego od niej kulisami życia, co najwyżej przebiegle intrygowała, czarnymi oczami kusiła, białymi zębami kąsała, anielskim uśmiechem słodziła, biegłymi i przebiegłymi palcami rozsnuwała siidla zawsze w jednym i w tym samym celu...

IV.

Wnioski proste i łatwe. On, jeśli urodził się z talentem twórczym, miał materyał, miał przedmiot, miał te liczne zjawiska, to życie, użyźniające niepospolitą z natury glebę jego twórczości. Ona, jeśli urodziła się z darem np. poetyckiego tworzenia, gasła, jak lampa, pozbawiona światłorodnego oleju.

To jest bardzo ważna, bodaj jedna z zasadni-

czych stron sprawy, o którą mi chodzi. To jest strona przekonywająca, to jest strona tę jej niewinną winę łagodząca.

Tak się przedstawiają motywy przypuszczalnej niewieściej niedoroślej twórczości.

Ale — chodzi teraz o to, czy te owe fatalne absenteizmu warunki, długimi szeregami stuleci i tysiącleci, z dnia na dzień, z roku na rok, nie wytworzyły psychicznie z kobiet, obok wrodzonej ustrojowej odrębności, prawie nieuleczalnie zupełnie odrębnej rasy? Czy owe warunki nie zmieniły, nie skryształizowały kobiecego mózgu organicznie tak, jak odmienne warunki bytu i zewnętrznych wpływów ustaliły na swój sposób, wedle naszego widzenia, niektóre rasy murzynów?..

Jeśli tak istotnie jest, bo na pewno nie śmiem rozstrzygać, to pomysły reformy emancypacyjne w tym kierunku niewiele poradzą. A nawet tu może być okoliczność bardziej jeszcze niepomysłna, jak w rasie murzyńskiej. Bo wskutek fizyologicznego skrzyżowania Europejczyka z Induską narodzi się metys, a białego z murzynką — mulat, a dzieci te, w dalszym ciągu pokoleń krzyżowane z rasą białą, ostatecznie wybielą się zupełnie.. Z kobietą niema sposobu; bo gdy nam się narodzi córka, pozostanie już na zawsze kobietą i w drugim i w trzecim itd. pokoleniu córek, z ich już może niezmiennem psychologicznem znamieniem.

Istnieją jeszcze inne sfery różnic, ogólniejsze i niemniej znamienne. Psychologia niewieścia jest bardziej od męskiej powikłaną. A psychologia bie

rze bardzo znaczny udział w samej zasadzie umysłowości, twórczości umysłowej, w intelekcie ludzkim.

Kobieta więc była w niewoli. Niewola ta polegała na pozbawieniu jej licznych praw społecznych, obyczajowych, towarzyskich. A niewola wpływa bardzo na psychologię człowieka, bez względu na płeć jego. Niewola przytem wzmaga osobnicze pierwiastki zniewolonego. Jeśli tym pierwiastkiem będzie np. nerwowość rasowa, jak u żydów lub zależną od płci, jak u kobiet, to nerwowość ta wzmagać się będzie niewątpliwie — bo niewola jest cierpieniem a cierpienie podrażniająco działa na nerwowy system jednostek lub grup, u których z natury już nerwy głośniej przemawiają od mięśni. Ta nadczułość jest zarazem jedną z podstaw do psychologicznych powikłań, bo podrażnionym został mózg. A mózg jest aparatem tak szalenie, tak genialnie powikłanym, że postawienie go w warunkach mniej lub więcej anormalnych, podrażniających, wytworzyć musi w funkcjach jego powikłania psychiczne. Tu zaś występują one pod postacią psychologicznych sprzeczności, które z logiką się nie rachują, albo raczej posiadają swoją nielogiczną logikę. Mózg rządzi wszystkimi naszymi organami i funkcjami, rozstrzyga w zasadzie o losach naszego ustroju, pośrednio lub bezpośrednio każe człowiekowi krócej lub dłużej żyć, każe mu być smutnym lub wesołym, dzielnym lub niedołącznym, mądrym lub głupim, złym lub dobrym, a jak w myśl owych psychicznych sprzeczności reagować i postępować sprzecznie, po za,

rozumie się, sprawą życia i śmierci; bo niepodobna równocześnie żyć i nie żyć, choć i to w znacznej mierze możliwym jest u kobiet... Tu nam jako pewnego rodzaju argument w pomoc przyjsć może starożydowskie przysłowiowe wyrażenie, dotyczące niewiast: powiada ono, że kobieta ma 99 dusz, a każda z nich po kolei umiera i dopiero gdy ostatnia dusza uleci, kobieta przestaje żyć naprawdę. W myśl tego można wyobrazić sobie, co wśród tych dusz dzieje się, gdy wszystkie jeszcze żyją. Ta zaś znaczna ich ilość ma oznaczać niespożytą siłę płci słabej, w czym, rzecz prosta, mieści się już duże pojęcie sprzeczności. Wytłomaczyć sobie możemy to zjawisko w ten sposób, że kobieta jest ustrojem, z powodu owej wytrzymałości, normalniejszym, mimo wspomnianej przedtem nienormalności, sprzeczności — od mężczyzn. A cały szereg owych nienormalności, tj. owych sprzeczności, o których wkrótce wspomnę, jest nerwowości jej wpływem. Wszelako z naciskiem zastrzegam, nerwowości jedynie funkcjonalnej, nie organicznej i to jej pozwala 98 razy umierać, a mimo to żyć jeszcze. U mężczyzn znacznie częściej rozstroje nerwowe są objawem zasadniczych zmian, często w następstwie nadużyć. Więcej jest wprawdzie kobiet skłonnych do psychopatyj, a jednakże znacznie większy procent kobiet wraca do względnego zdrowia, niż mężczyzn. I w tem jest sprzeczność. A więc ta siła w jej słabości, ta zdrowa chorobliwość, ta niespożytość jej węższego, niż mężczyzn, organizmu, dozwala nam zrozumieć zasadę wspomnianych sprzeczności. Jest inne jesz-

cze wyrażenie; Francuzi powiadają: w każdej kobiecie jest tysiąc kobiet — ci to sobie już nie żalowali — a każda z nich inna. Co to znaczy? Bo przecież to nie może być tęczyowy obraz, w którym różne kolory harmonijnie spajają się. Można pogodzić kilka barw; ale skoro ich jest tysiąc, z pewnością wiele z nich ze sobą pogodzić się nie da. A jednak spróbujmy; bo to są owe właśnie w jednej duszy spajające się sprzeczności. Łagodna może być płochą, roztropna—wesołą. Ale zdawałoby się, że łagodna nie może być gwałtowną, bo łagodną być przestaje; roztropna niedorzeczną być nie może, wesoła — melancholijną, skłonna do śmiechu — do łez skłonna, zuchwale prawdomówna — obłudną. A jednak psychiczne te sprzeczności w owym obrazie tysiąca dusz, jedną stanowią postać: kobietę.

Tak więc niewola była zasadniczym powodem, po długich szeregach wieków w ustroju ludzkim psychicznych sprzeczności. Bo niewolnik lub niewolnica, politycznie czy społecznie wzięci, zniewoleni są często do udawania wobec pana swego. Niewolnik uczy się cierpliwości, mimo wrodzonego braku jej; gdy w nim wrze, udaje spokój, aby rozkazodawcy swego nie podrażnić przeciw sobie i nawet go sobie pokorą i uległością zyskać. Stopniowo uczy się podejścia, grania obłudnej komedyi, kompromisów na rzecz swoją, swoich blizkich, rodziny, dzieci i to często, mimo posiadanych wrodzonych, dobrych, nawet szlachetnych instynktów a nieraz właśnie dla nich samych... I tych dobrych wrodzonych instynktów, nabyte złe nie tłumią i obok nich z konieczności

zgodnie się mieszczą, a to idzie tak z pokolenia na pokolenie, niwecząc prostolinijność charakteru i rodząc właśnie owe w jednym i tym samym ustroju wewnętrzne kontrasty.

Człowiek konsekwentnie dobry, szlachetny, zmuszony walczyć z przeciwnościami, aby dojść do kresu swych pragnień, czynić to będzie z taką siłą woli i wytrzymałości, aby moralnych i społecznych swych zasad nie łamać i to mu się udać może i powinno — o ile temu nie przeszkadzają podstawowe polityczne i społeczne stosunki, to znaczy, o ile nie jest w niewoli, o ile po za walką z ogólnymi codziennymi warunkami życia, nie będzie zmuszony giąć się wobec siły większej. Wtedy zmierzając do celu, nie pogardzi podstępem, obłudą, przekupywaniem materialnym lub moralnym. Jeżeli to będzie człowiek przeciętnie etyczny, powtarzam dodatni, choć etycznie mniej ścisły, tem krócej walczyć będzie ze skrupułem.

A przecież i tamten etyczny bardziej jak i ten ostatni etyczny wmiarę — nie zatracili w sobie pierwiastków dobrych, choć zniewoleni zostali do spełniania nieetycznych faktów — a ludzi doskonałych niema. Te nowe, dla nich nieetyczne czyny w następnym pokoleniu, jako przykład, przestały już być nowymi, a przechodzą potem w krew naszą, pod wpływem bezpośrednio na nas działających przeskód, które kruszyć musimy i nadto już pod naciskiem w tym duchu odziedziczonych pierwiastków. Ale prócz nich odziedziczyliśmy i owe wrodzone dobre, dalej zaś sam fakt niewoli solidaryzuje zniewolonych siłą towarzystwa niedoli, i każe im mię-

dzy sobą wspomagać się szlachetnem słowem i czynem, nakłaniając jednocześnie do podstępów i hipokryzyi względem wspólnego pana.

W ten więc sposób mamy właśnie obraz dwóch sprzecznych faktów, wmieszczonych w ustrój człowieka. W ten sam sposób i inne analogiczne pierwiastki wewnętrzne zradzać się będą obok siebie, mimo swych jakościowych kolizyj; bo niewola stwarza rozliczne powikłane następstwa.

Otóż tej samej psychologii, która się u nas zrodziła w stosunku do wspólnego wroga i ciemiezcy, nie będziemy unikać i w stosunku do naszego osobistego przeciwnika lub gdy nam będzie potrzeba usunąć kogoś niedogodnego, czyli, że owe sprzeczności psychiczne ujawniają się w sferze i naszych prywatnych, codziennych ogólnych stosunków. Rzecz prosta, że to wszystko nie da się zastosować do wyjątkowych ofiarnych Hussów i Sawonarolów. W ten sposób właśnie pojąć możemy sprzeczności w duszy kobiecej, która tyle wieków była w niewoli.

V.

Takie wnioski wysnuć musiałem z francuskiego epigramatu tysiąca dusz w jednej, tem bardziej, że wnioski te są zgodne z obserwacyami memi o psychicznych sprzecznościach duszy kobiecej, a były niewątpliwie pobudką do znanej sfinksowej definicyi, tj. zagadkowości, tj. sprzeczności, pozornie nie dających się pogodzić.

Przytem winienem wspomnieć jeszcze o dwóch sprawach psychicznych: o przyjaźni i o miłości erotycznej kobiet. Co do pierwszej, co do przyjaźni, to w dziejach legend nie słyhać o niewieścim Oreście i Pyladzie, o Kastorze i Poluksie, o Achillesie i Patroklu. To też utrzymuje się niewiara w przyjaźń kobiety do kobiety. A skoro utrzymała się wspomniana niewiara, oparta zapewne na wielowiekowym doświadczeniu, musi ona być prawdą... I tu znaleźć trzeba powody. Jest to zapewne gynecealny spadek, gdyż kobiety wśród bezpośredniej i ciągłej emulacji między sobą w stosunku do pana swego, zatraciły w sobie uczucie wspomnianego uczucia; bo wyłączało je wszelkie zasadnicze, ciągłe współzawodnictwo. Inaczej było wśród mężczyzn, gdy napady i walki przeciw wspólnemu wrogowi lub przeciwnościom skrzeszały w męskich sercach towarzyszy zapał, poświęcenie, solidarność, które bywają pobudkami trwałej przyjaźni. A jednak w każdym ustroju ludzkim, bez względu na jego płeć lub rasę, działa lub drzemie jednaka suma uczuć. O ile które z nich stosunki i okoliczności zmuszają do milczenia, lub osłabiają je — milczeć ono będzie, dopóki nie zjawi się chwila sposobna, wtedy ono zabierze głos, przemówi, i to zwykle ze zdwojoną, jako dotychczas utajoną, siłą. I z uczuciem przyjaźni kobiet tak się też stało. Bo oto dziś w młodszym pokoleniu kobiet uderza nas właśnie owo uczucie uspionej dotychczas przyjaźni. A ponieważ tego rodzaju objawy psychiczne nie zjawiają się z dnia na dzień, bez ważnego powodu i pobudzenia, i tu znaleźć można bez trudu ważną,

wskrzeszającą uczucie to podniecię. Najprzód ustały już dawniejsze przyczyny negatywne, tj. owo wspomniane bezpośrednio współzawodnictwo wobec mężczyzny — pana, co uprzętnęło drogę do przyjaźni; a następnie powołała ją do życia idea ogólniejsza, szersza, mianowicie społeczny altruizm, jako reakcja przeciw zmateryalizowanemu sobkostwu zeszłego wieku. Pod wpływem nawoływań apostołów altruizmu, zbudziła się idea sprawiedliwości — równouprawnienia klas i płci. A przyjaźń, jako altruistyczne uczucie, zakwitła właśnie niby gałązka ogólniejszego, szlachetnego pojęcia. A ponieważ kobieta pragnie dorównać pod wieloma względami mężczyźnie, więc i tu nie zaległa. Nie jest to bynajmniej objaw wyrozumowany i postanowiony, ale samorzutny, żywiołowy raczej. Znamy mnóstwo przykładów, objaw ten stwierdzających, a nie są to po 1) fakta jedynie towarzyskiej natury, ale ujawniają się czynnie, pomocą użyteczną, ofiarnością jednej względem drugiej i 2) nie wyłączają bynajmniej bezinteresownej a pozytywnej przyjaźni kobiet względem mężczyzn, a to dlatego, że uczucie to, jako naturalnie zrodzone, szlachetne, nie zwróciło się jedynie w kierunku płci pokrewnej.

Teraz zaś z kolei zwrócić się winienem do miłości erotycznej. Utrzymywano, a rzeczywistość temu nie przeczy, że miłość mężczyzny jest tylko kartą w księdze jego życia, zaś u kobiety — całą tego życia księgą. Podobnie jak pierwiastek wspomnianej przyjaźni odrodził się pod wpływem społeczno-kulturalnych pojęć, tak i miłość, choć z innych pobudek,

i bodaj reduktywnie tym samym ulegnie wpływow. Jeżeli istotnie miłość zajmowała tyle miejsca i trwania w duszy kobiecej, to dlatego, że w niej było wolnego miejsca bardzo dużo, miejsca, nie zajętego pierwiastkami innymi, odmiennymi, które, jako nieobecne, nie mogły normować wszechobecnego w duszy tej uczucia miłości. To też i dlatego było wśród kobiet więcej, niż wśród mężczyzn, nieutulonych zawodów, pokrzyżowanej, zrozpaczonej młodości, a nawet całego życia.

Równouprawnienie dopuszcza kobietę do pracy praktycznej, naukowej, społecznej i niewątpliwie wkrótce i politycznej. Ten olbrzymi zakres prac różnorodnych zaprzęgnąć musi jej umysł tak, jak męski, a może intensywniej jeszcze, bo trafi na grunt zapuszczony, świeży, niewyjałowiony, żarliwie tej pracy łaknący. Sprawa ta nie może nie wpłynąć na psychologię miłości, a rozumie się nie zasadniczo; nie może jednak nie uczynić w niej, nieszkodliwej, zresztą, szczyrby. Nastąpi podział pracy mózgu i serca, które, zaprzęgnięte różnorodnymi sprawami, zmniejszyć będą musiały ilość kart, poświęcanych miłości w księżde życia kobiety.

VI.

Podobne zmiany zajść powinny w ogólnym mechanizmie psychologii kobiet, przyczem należy wziąć pod uwagę i tę znaną zresztą obserwację, że jak wielu jest mężczyzn z naturą niewieścią, tak też i nie

brak kobiet z męską siłą. Chodzi tedy o to, jak wspomniałem, że przyznanie kobietom praw męskich, używotni i oddziała na ogólną psychologię kobiet i na ową sprawę sprzeczności psychologicznych, określonych przezemnie. A te sprzeczności, tak ważne w ustroju niewieścim, niewątpliwie wpływają także na umysł kobiety. Skoro zaś przyczyną tych kontradycyj były wielostronnie ujemne stosunki życia kobiet, to wskutek usunięcia przyczyn tych, nastąpić winna zmiana w funkcjach psychicznych kobiet. Mózg ich asymilować będzie tezsame pierwiastki umysłowe, co męski, praca ich utożsami się z pracą męską, powszednią, naukową, społeczną i polityczną. Gdyby jednak to przypuszczalne upodobnienie w zupełnej mierze nie nastąpiło, bo zarówno siła tyłowiekowego spadkowego atawizmu, jak i zasadnicza różnica ustroju, mogą temu stanąć na zawadzie — to nastąpi w każdym razie objaw, który wprawdzie obecnie jeszcze zdeklarować się nie da, ale wedle wszelkiego prawdopodobieństwa polegać będzie na tem, że w niektórych kierunkach kobieta dorówna mężczyźnie, w innych nie dorówna mu, a jeszcze w innych prześcignie. Prześcignie go zaś zapewne w tej dziedzinie pracy, w której, obok umysłowej, potrzeba moralnej siły, tj. prześcignie go ona w wielkiej pracy życia. Ale taki zwrot, takie preistoczenie, nie staje się, nie spełnia bez właściwych przełomom objawów. Przedewszystkiem ubiegająca epoka nie dała nadchodzącej dostatecznie przygotowanego psychicznego gruntu do tych wielkich przemian. Niezmierna wadliwość wychowania publicznego,

szkolnictwo, zarówno pod względem pedagogicznym, jak i higienicznym, osłabiło ustrój zarówno męski, jak kobiecy, a walka o prawa tego ustroju, to rwanie się, zapał, ta wprawdzie *nie* krwawa rewolucya, ustrój ten bardziej jeszcze wyczerpały. Ale osłabiony organizm, dzięki wielostronnym ulepszeniom, głównie unormalnieniu nowego życia, pokrzepi i właśnie unormalni kobietę.

Co do nas, dotychczas pozostawaliśmy za zachodem wstecz. W stosunkowo krótkim czasie bardzo zrównamy się, a może pod niektórymi względami prześcigniemy Zachód — dzięki równouprawnieniu kobiet u nas, a tem samem dzięki zdwojonej pracy umysłowej i ogólnej społeczeństwa. Bo nie rymowane, malowane i komponowane arcydzieła stanowią główną siłę narodu... Wszak jest mały naród w środkowej Europie, napierany wrogo dokoła siebie i pośród siebie, który posiada tak niezmierną moralno-społeczną siłę, że możnaby go nazwać wielkiem moralno-społecznem mocarstwem — Czechy! Siłę swoją zawdzięczają oni nie arcydziełom artystycznym, bo ich właściwie posiadają mało, ale zawdzięczają ją — *samym sobie...*

* * *

Cywilizacya, nauka, sztuka zmierza jakoby do moralnego naszego podniesienia. Skoro zaś kobieta odgradzoną była od owych cywilizacyjnych pierwiastków, nauki, sztuki — a była ona w tym kierunku nie tylko nie produkującą, ale i nie spożywającą — więc w rezultacie tego, winna ona stać etycznie

znacznie niżej od mężczyzny. A tymczasem życie, wzięte jaknajszerzej, przekonywa, że stoi ona nieskończenie wyżej etycznie od niego, bez względu na jej różne przykre wadliwości i szkodliwości. Błądność kobietożerczych zapatrywań Artura Schoppenhauera polega w zasadzie na tem, że wyciągnął on szereg drugorzędnych ułomności kobiecych, zapomniawszy, że błędą one wobec wielkich zdrożności męskich. Historia uczy, że mieliśmy wiecznie do czynienia z całemi gromadami męskich łotrów, zbirów, krwiożerczych cesarów, bandytów, uzurpatorów, nieukróconych chciwców, tyranów, najeźdźców, fabrykantów itd. A w prywatnych stosunkach: pijaństwo i hazard — i nie mówię tu o pijakach, graczach lub rozpustnikach wykolejeńcach, którzy i między kobietami się zdarzają — ale o bardzo porządnym, wykształconym i szanowanym filistrach. W dziejach życia kobiet były Kleopatry i Agrypiny, ale one, razem wzięte porównawczo, ubogi przedstawiają materiały. Może powie kto, że to wszystko jest wpływem większego napięcia sił i uczuć męskich? Ale w rezultacie co potem? a w każdym razie nie są one w stanie zmniejszyć doniosłości i wyższości cnót kobiecych, polegających choćby tylko na braku w nich wspomnianych niemoralności męskich. Może powie kto znów, że nie kobieta, lecz mężczyzna zwalczał często różne wspomniane nadużycia i zbrodnie; ale kto te nadużycia i zbrodnie spełniał?...

VII.

Pozwólmy na chwilę dać folgę wyobraźni:

Zacięty gynecolog, Fryderyk Nietzsche, lekceważył kobietę, opierając się na jej dziejowej przeszłości. A jednak kto wie, czy jego marzone reformy etyczne uskuteczni nie protegowany przez niego mężczyzna-nadczłowiek, ale kobieta-człowiek właśnie?... Może nie ściśle w kierunku jego postulatów, ale w każdym razie może. Bo przecież niepodobna, aby na przyszłe losy ludzkości nie oddziałała potężnie cała połowa tej ludzkości, zreformowanej tak wszechstronnie i rozlegle i, co bardzo ważne, połowa zupełnie odmienna, nie doskonała bynajmniej, ale jednakże lepsza. Gdybym mógł uwierzyć w etyczny postęp ludzkości, to chyba tylko w takim razie... Bo to, co dotychczas budowała ręka ludzka, męska, społecznie i politycznie — budowała krwawą przemocą. Mężczyzna tworzył wielkie dzieła nauki i wszechsztuki — nie stworzył ani jednego tak wielkiego czynu, którymby istotnie ludzkość podźwignął, wydobył ją z jej małości. Bo wielkie idee były niemi niestety tylko istotnie w wielkich mózgach, jako szlachetne doktryny; a gdy przyszły na świat, samobójcza ręka ludzkości po niewielu latach deprawowała je swemi namiętnościami, ambycjami, kompromisami. Niechaj społeczni, polityczni, religijni wolnomyśliciele nie chępią się z wyznawanych przez siebie szerokich widnokręgów, bo przyszłość im powie, że te widnokregi były ciasne i zamglone, bo ciasnemi są serca nasze.

Może więc wśród społecznych przeistoczeń powstanie *femina nova*, skoro wedle badań starożytników były epoki gynecokracji, rządy kobiet. Może powstanie jako nowy gatunek istot o niezwykłej sile moralnej, której ród męski dotychczas nie posiadał... A czy wolno spodziewać się siły od kobiety, istoty słabej. Teoretycznie, nie. A przypisywana kobietom cierpliwość, łagodność, powściągliwość, uczuciowość nie są bynajmniej atrybutami, mogącymi moralnie podnieść ludzkość. Są to raczej cnoty domowe. Ale te pierwiastki, jako przeważnie kobiece, mogą być widowym znamieniem potężnych utajonych sił, jak np. w innym kierunku żydzi, którzy, choć uchodzili jako uosobienie tchórzostwa, złożyli u nas w ostatniej rewolucji dowody nie tylko cywilnej odwagi. Powiedziałem, w innym kierunku. Bo od kobiet należy spodziewać się tryumfów w walkach pokojowych, moralnych, które wreszcie nie wyłączają i pierwiastków innych. Oto staje przed zdumionym wzrokiem naszej przedstuletniej pamięci istota, szczerze kochająca lud, uczennica Plutarcha i Russa i odczytuje w ówczesnej gazecie, *Ami du peuple*, straszne żądanie krwawego Marat'a, że gwoli interesom Rewolucji trzeba, żeby jeszcze 200.000 ludzkich głów padło. W społeczeństwie całym wobec tego zawyro-kowania, nie zareagował czynem żaden mężczyzna. Stało się to z młodą kobietą, Maryą Karoliną Corday, która w ciągu jednej doby przeistoczyła się nagle w archanioła nieustraszonej sprawiedliwości. Była to wielka reakcja niewieściej duszy przeciw

krwiożerczej doktrynie męskiej. To była kobieta-szumienie, to była siostra wszechmiłosierdzia...

Przywykliśmy przyglądać się męskiej demonicznej sile i mocy i wykluczać z niej pojęcie uczuciowości i wzruszeń, jako pierwiastków z tamtymi sprzecznymi. A może kobieta przyszłości, *femina nova*, na podstawie psychologii swojej, dzięki nowym, wielkim wpływom, stworzy nowe etyczne światy, które prześcigną nasze dotychczasowe moralne pojęcia?

Może w tem patrzeniu mojem jest sentymentalizm nie męski — a może karygodne lekceważenie wielkich prejudykatów, które zwykle imponują rutynie, choć je nieraz dyskredytują, niemniejsze niespodzianki życia?...

Jeżeli zaś tego przeistoczenia nie dokona w przyszłości „kobieta nowa“, to nie dokona go tembardziej siła męska, ów Zaratustra, wobec odwiecznych tryumfów namiętności i ułomności ludzkich...

Kraków 1907 r.

WZAJEMNY WPŁYW WSZECHARTYZMU I MORALNOŚCI.

I. *)

Artyzm pisarski jest przede wszystkim zjawiskiem psychologicznym. Muzyka zaś, malarstwo, rzeźba oparły się bardzo znacznie na technice. Ona ich pierwiastki psychiczne ogranicza, w siebie wchłania, a muzyka niemal zupełnie je omija. Służące sztukom tym techniczne formuły, narzędzia, dowodzą tego: Specjalna nauka harmonii i kontrapunktu, przeróżne instrumenty w muzyce, w malarstwie i rzeźbie: rysownictwo, modelarstwo, pędzel, farba, płótno, glina, muł, drzewo, stal, miedź, marmur, bronz i t. d. Wprawdzie i poezya liczyć się musi z *warunkami* techniki: z wypukłością, perspektywą,

*) Biedzono się niejednokrotnie z polskim wyrazem *sztuka* jako banalnym, dwuznacznym — próbowano zastąpić go innym np. „pięknotwórstwo“, bardziej jeszcze sztucznym. Sądzę, że wszelkie w tym kierunku usiłowania, dałyby się zastąpić upowszechnionym zresztą wyrazem: *Artyzm*; artyzm muzyczny, malarzski, poetycki itd. choć utartego wyrazu: *sztuka*, nie należy omijać.

kompozycją; ale to technika idealna, oparta na procesie bezpośredniego tworzenia. A więc koncepcje muzyczne, malarskie i rzeźbiarskie, przepływają do duszy naszej drogą technicznych emanacji, nie wyłączając muzyki wokalne, najidealniejszych postaci wspomnianych arcydzieł; bo i tu wspomagać się musimy powikłaną, opartą na formułach technicznych, gramatyką krtani. Nie znaczy to wprawdzie, że kompozytor nie jest w stanie stworzyć bez pomocy jakiegokolwiek ze wspomnianych akustycznych narzędzi. On może czynić to jak poeta, przenosząc muzyczne swe idee bezpośrednio na papier; lecz tylko sprawdza, kontroluje twórczości swej wpływ narzędziem technicznym. Wszelako do osiągnięcia celu, do wywołania wrażeń nazewnątrz, niezbędną mu jest techniczna wyręka, która swoją drogą, mimo woli kompozytora, towarzyszy szlakiem jego twórczych natchnień.

Tylko poezja jest objawieniem zupełnie bezpośrednim. Bo druk, książka nie stanowi jej specjalnego narzędzia. Nawet dramat, który na scenie wspomaga się teatralną techniką — bez niej łatwo się obywa. Posiłkuje się nią jedynie jako uplastyczniającym *dopełnieniem* a nie narzędziem *nieuniknionem*. Wreszcie i to dopełnienie może mu być zbyt pomocne, jego brak nie przeszkadza nam zapoznać się ściśle z dziełem dramatycznym. Tu własna nasza, zawsze nam towarzysząca wyobraźnia, a więc nie zewnętrzny techniczny instrument, zastępuje zapożyczony sceniczny aparat i spełnia nieskazitelnie od niego swoje przeznaczenie, jako idealne wewnętrzne narzędzie.

Wybitne dzieła i arcydzieła dramatyczne, oddziaływają na nas w widzeniu i czytaniu. Lecz słabsze, obejść się nie mogą bez scenicznego sukursu, akcesoryi. Bez nich też w czytaniu są utwory te raczej dramatycznym librettem, czyli właściwie nie są istotnymi dziełami sztuki; gdy tamte, głęboko artystyczne pozostają niemi bezwzględnie w braku tych samych scenicznych narzędzi.

Tak więc widzimy, że poezya pod względem właściwego procesu tworzenia jest w świecie arcyzmu, idealniejszą nawet od bardziej od niej w dziedzinie wrażeń idealnej muzyki.

Muzyka siłą swej ogólnej potęgi, gdy zmilkną tony jej, zostawia po sobie w duszy naszej ślady czarów, reminiscencye ich, a nie samą siebie, jak poezya, która udziela nam wrażeń, trwałe i plastyczny całokształt.

Malarstwo i rzeźba zostawiają w naszym moralnym odczuciu wrażenie, w porównaniu z poezją bardziej ograniczone, choć znów wyrazistsze, indywidualniejsze, niż muzyka.

A więc muzyczno-malarsko-rzeźbiarskie wrażenia nie są w stanie utrwalić w duszy naszej *znamion* artystycznej wrazeniowej swej obecności w tej rozciągłości i stopniu, co poezya. Poprzestają tamte, jak w muzyce, na pozostawieniu w nas tylko swych refleksów idealnych, ograniczenie psychicznych, i plastycznych w malarstwie i rzeźbie. Poezya bowiem, to co w niej jest, łączy się, stapia z myślą naszą mniej lub więcej już przedtem w nas przygotowaną, przez nas w pewnej mierze już posiadaną.

Muzyka i plastyki artystyczne, trafiając do naszego mózgu drogą akustyki, eterycznego lub plastycznego rezonansu, nie mają w mózgu naszym uprzednio faktami życia przygotowanych muzycznych lub malarsko-rzeźbiarskich formuł. Te się dopiero w nas przy specjalnych zachodach i preparacjach drogą słuchu lub wzroku, czynią. Muzyka i sztuki plastyczne nie przemawiają do pozbawionych słuchu lub wzroku; gdy poezję widzi niewidomy, oczami innych, a słyszy ją okaleczony słuchem przy pomocy własnych oczu. Bo, jak powiedziałem, myśl ludzka jest uprzednio do poezji przygotowaną, zasadniczymi i ogólnymi pierwiastkami życia, bez względu na sprawność dwóch naszych wspomnianych zmysłów.

Tylko więc poezja — myśl jej, jej obrazy, nawiedzają nas wprost; bo łączą się z naszą myślą lub jej pokrewną, z obrazami nam znanymi lub zbliżonymi do nich. Poezja uderza do naszej wyobraźni przebojem pierwiastków znanego nam życia lub pojęć i dlatego jest najbliższą nas, najdostępniejszą.

Malarska i rzeźbiarska plastyka daje nam odczucie zadumanych płaszczyzn i kształtów, jako temporalnie i faktycznie skupionych i uwięzionych niezmiennie na ograniczonej przestrzeni. Bo bez względu na ich osnowę: ludzie, drzewa, bitwy, śmiech, płacz mają w malarstwie i rzeźbie cechę chronicznej zadumy — bo wszystko, w życiu lub sztuce, co jest skupioną, niezmienną chwilą, co jest chwilą chwil, jest zadumy stanem.

Muzyka kolebiącemi wrażeniami dźwięków, za-
 ludnia pustkowie nerwów naszych i jest bezwymia-
 rową, a to jej zjawiskowa niezwykłość i to wyższość
 muzyki nad inne jej artystyczne siostrzyce. Wraże-
 nia muzyczne przez swą subtelność, nawet w swych
 wagnerowskich demonizmach, zależne są bardziej,
 niż w poezji od naszego w danej chwili nerwostanu,
 którym przecież muzyka o władnąć może mocą swej
 właśnie subtelności wbrew nastrojowi słuchacza.

jak wyczuł

Niemiecka muzyka, po za narodowym Weberem,
 Schumanem, Schubertem... jest kosmiczną, betowe-
 nowską; a nuty Heydna i Mozarta są pozaświatowe.
 Jeżeli zawdzięczamy muzyce chwile rozkosznych
 uniesień i egzaltacyi, to muzyka sama, najpiękniej-
 sze jestestwo swe winna Niemcom, jak skulptura Gre-
 kom starym. I gdy wszechpustoszący, drapieźny Czas
 do reszty znieważy kamienny urok Wenery z Milo
 i połamie melodię jej kształtów, jak to już dawno
 uczynił z Knidoską, Niemcy nie przestaną smutkom
 naszym przygrywać i rozsmućać ich.

Muzyka jako bezwymiarowa nie ma choćby naj-
 odleglejszych krańców i dlatego w niej myśl nasza,
 nie, nie myśl, lecz zjawienie muzycznych wrażeń
 naszych, nie trafia na żadne po drodze swej rubieże,
 jak w poezji i sztuce plastycznej, pojęciowo zam-
 kniętych w przestrzeni i czasie. Bo płynie ona
 śpiewna, niepowstrzymana, dopóki jej złotych ust
 nie zamknie ułomna ręka człowieka-twórcy.

Jesteśmy więksi wrażeniami muzyki niż myślą,
 mimo jej wielkości, bo ta ma krawędzie — muzy-
 czne ich nie znają. Jesteśmy więksi wrażeniami mu-

?

zyki niż uczuciem, mimo jego potęgi, bo je zamyka łączyca miłości lub ciernisty wieniec bólu — muzyczne granic nie znają. Jesteśmy więksi temi wrażeniami niż wolą; bo ją łamią i każą ułomności nasze, a muzyczne nie znają ich. Wrażenia muzyczne nie mają ni cierpień, ni łez, jak poezya lub malarstwo; bo nie płyną z namiętności ludzkich. Poezya trwoży nas, każe nam boleć lub parskać śmiechem; ile malowideł i rzeźb ukazuje nam lub symbolizuje nasze zdrożności i bezlitość. A wrażenia muzyczne czynią się po za światem naszych namiętności, wirują dokoła najsubtelniejszych strun naszego jestwa. Przeciwnie nawet, one owych łez i cierpień, opartych na ułudzie artystycznej, nietylko nie rodzą, ale czarem swym nasze istotne rozpraszają. I czynią one to wszystko zupełnie różnym, niż inne artyzmy sposobem, odrębnym od psychologii naszej. Wprawdzie w muzyce są tony minorowe, majorowe, allegra, allegretta itd., ale jak odmienną jest, jeśli już tak nazwać mamy, ich psychiczność? Jak te wesołe i rzewne nuty odległe od naszej istotnej wesołości lub grozy. Ich wesoły pierwiastek nie pobudza do głośnego śmiechu, co najwyżej do uśmiechu, a groza ich nie zatrważa, podnosi raczej nastrój nasz, niby oddalone groźne zjawiska natury. Muzyka zstępuje nieraz ku dolinom naszego sekularnego bytu, aby dramatycznie zobrazować ludzkie namiętności. Ale tu właśnie odważę się na impertynencki paradoks i powiem, że muzyka dramatyczna, mimo swych wspańiałyłch arcydzieł, jest, mimo wszystko, genialnem nadużyciem spełnionem na zasadniczej muzyki isto-

cie. Bo ona, jako taka, nie ma nic wspólnego z żądzą ludzką, która nieodzownie wypełnia wnętrze czynnego dramatu... Z tego prawidła wyłączyłbym, prócz operowych uwertur wogóle, opery takie, jak „Wesele Figara“ lub „Cyrulik z Sewilli“, które swym muzycznym czarem, schłaniają niemal bez śladu psychologiczne pierwiastki tekstu, zniewalają nas o nich zapomnieć, a pamiętać tylko o sobie. Muzykę koncertową, kameralną, oratoryjną (nie kościelną) i symfoniczną, należałoby wyżej postawić od dramatycznej; bo tamte są samodzielniejsze, indywidualnie czystsze, wolne od narzuconych pierwiastków dramatycznej muzyce.

Zasadnicza istota muzyki jako nie krępowana, nie ściągana ku nizinom brzemieniem naszych ziemskich psychomoralnych pierwiastków, jako niewymierna, może nam dać domniemywania przyczyn ostatecznych — *causae finalis*, wobec których ustaje ciągłość myśli a przeto i poezji naszej. Muzyka jest metafizyką wszechartyźmu, jest wielką uskrzydloną negacją monizmu, przeczeniem bezwzględnej jedności ducha z materią. Dlatego chyba budziła ona takie ubóstwienie i orędownictwo w bezmiernej muzycznej twórczości Niemców. To też oni w swej niestrudzonej, daremnej spekulatywnej gonitwie za filozoficzną decyzją, za duchowem oparciem, mimowiednie znaleźli je w wielkiej syntezie wrażeń muzycznych, które są właśnie owych dyalektycznych błąkań i omamień — antytezą.

A architektura?... Zdawałoby się, że jest ona bezwzględnie przeciwległym krańcem muzyki. Gdy mu-

zyka przemawia do nas rojeniami igrających dźwięków — architektura czyni to zaklętem milczeniem. Muzyka, jako pierwiastek lotny, bezustannie falujący, nie ma plastycznych kształtów — architektura posiada je w wielkiej pełni. Muzyka winna do przybytku duszy naszej wejść, aby nastrojami swemi nas podniecić. Architektura przeciwnie — ona podniosłą swą periferią nęci *nas* właśnie do swego wnętrza. I tu też dopiero sama w sobie upodabnia się do muzyki; bo jak ona nie posiada pożądlivosti ludzkich i po za — ornamentacją: rzeźbą i malarstwem — etycznie czystą jest zupełnie. Bo też zdobnictwo architektury, to jej zewnętrzny, przygodny pierwiastek.

? Architektura więc czystością swą, nieobecnością psychicznych pierwiastków ziemskich, spokrewnia się z muzyką i temi brakami różni się od poezji, malarstwa i rzeźby.

Muzyka jest rozlewnym, choć skoordynowanym światem harmonicznym wrażeń — architektura światem wielkich milczących proporcji.

II.

Mózg ludzki przyjmuje wrażenia z dziedziny istotnego, choć na złudzeniu opartego arcyzmu, przy pomocy odpowiednich swoistych komórek. Gdy owe wrażenia, z konieczności przejściowe, przemawiać do nas przestają, dzięki rozpoczętemu oddziaływaniu

innych zewnętrznych lub wewnętrznych wpływów, pozostają z nich w grupie komórkowej mózgu miłe lub demoniczne wspomnienia. Choć nie ulotniły się one bez śladu — nie wsiąkły jednak tak organicznie w nas, jak to czynią w ustroju naszym np. pokarmy lub napoje, które spajają się z nami zasadniczo, gdy artystyczny posiłek czyni to funkcjonalnie tylko. A z codziennej obserwacji wiemy, że ludzie, zwłaszcza mało kulturalni, bez wrażeń artystycznych obejść się mogą, a bez pokarmów i napojów nikt i nic. A te przechodzą w zasadę naszej istoty, czynią nas nami — wrażenia zaś artystyczne kształcą naszą wyobraźnię a pośrednio wzmagają lotność naszego umysłu. Ale są to przeważnie produkty idealne, bezinteresowne i nie wpływają wprost na codzienną naszą użyteczność, jak intelektualne lub praktyczne zadania nasze.

A przytem zapewne mózg nasz, jako ustrój pozytywny, ścisły, zdumiewająco ścisły, gdyż tylko tem wytlómaczyć sobie można jego niesłychanie subtelne i zarazem normalne powikłania — otóż być może, iż mózg z racji swej wymienionej natury, przyjmuje artystyczne wrażenia jako silne złudzenia tylko. I dlatego właśnie, jako takie, nie mogą one ustrojowo, bezwzględnie zasymilować się z nim, pozytywnym, ścisłym. Mózgi normalne, a takich większość, odczuwają zwykle artystyczne wpływy wrażliwie. Ale mimowiednie zachowują się względem nich odpornie jako wobec złudnych, naśladowczych, naiwnych. Mózgi owe godzą się z wrażeniami artystycznymi, gdyż sprawiają im one nie-

zwykłą przyjemność, nie wchłaniają ich jednak absolutnie, temsamem i wpływ ich może być tylko ogólny, jak i innych przyjemnych wrażeń, urozmaicających jednostajność naszego życia. Wszelako wrażenia te odddziaływają na wysubtelnienie naszego systemu nerwowego ekscytacją wyobraźni. A ten wpływ dziedzicznie udziela się dalszym pokoleniom i potęguje niewątpliwie. W ten więc sposób wpływ fizjologicznych pierwiastków doraźniej i silniej spaja się z nami — zaś artystycznych czyni to stopniowo, ewolucyjnie w łańcuchu pokoleń, subtylizacją nerwów.

Tak się przedstawia sprawa wrażeń artystycznych *w ogólności*.

Czy więc sztuka, w ten sposób na nas oddziaływając, może wpływać na etyczne nasze sumienie, na moralność naszą, a jeżeli może, to w jaki sposób?

Wiemy, że jednostki proste, mało kulturalne, ze sztuką prawie nie komunikujące się, nieraz mimo to (choć nie zawsze tak bywa) stoją wyżej etycznie od jednostek kulturalnych, artystycznie wrażliwszych. Dzieje się tak dlatego, że w sprawie etyki decydują silniej skłonności wrodzone dzikie lub łagodne od nabytych pierwiastków, choć i te nie pozostają bez pewnego wpływu. Dzieje się tu tożsamo, co w fizjologii. Ustroje zdrowe, nie bawiące się w higienę, zdrowszemi są od wadliwych z urodzenia, choćbyśmy wadliwości ich nawet umiejętnie osłabiali lecznictwem, a ich samych pokrzepiali. Czyli, że to, co dziedzicznie otrzymaliśmy, skłonności złe czy dobre, moralne czy fizyczne, silniejsze są od przyswajanych,

to znaczy, że dobro skuteczniej opiera się złemu przyswojonemu, a zło przyswajanyim dobrym pierwiastkom. Czy, wobec tego, możemy mieć roszczenia do sztuki, aby nas doskonalila moralnie, ona, fikcja, pośrednie odbicie prawd życia? Bo sztuka nie tyle przemawia do nas jako przykład, jako obraz zatrwajający, choć silnie przemawia; ale jak za chwilę zobaczymy, czyni to wprawdzie artystycznemi pierwiastkami — kunsztem tworzenia; wszelako na rzecz żywołu, nie mającego właściwie z etyką nic wspólnego.

III.

Sztuka czysta wartością swoją, jak wiadomo, zawsze prześciga tendencyjną, jakoby umoralniającą. Tendencyjna, altruistyczniejsza, hołduje morałem pierwiastkom bieżącym, zmiennym, przechodnim. Czysta zaś ilustruje zjawiska psychiczne lub ideowe, ogólniejsze, odwieczne, jak miłość, nienawiść, ambicya itd. Ona przytem w sposobach nie przebiera, posiłkuje się temi, jakimi w przekonaniu swem można artystycznie najsilniejsze wyrzec wrażenie i najtrwalej *wartość swą* przechować, bez względu na swe etyczne pierwiastki. Zarazem przekonać się łatwo, że dzięki egoizmowi sztuki czystej z jednej strony i przewadze wszechwładztwa zdrożności i namiętności ludzkich z drugiej, arcydzieła np. w poetyckiej sztuce, ujawniają zło natury ludzkiej bardzo najczęściej i najpotężniej: Eschylos, Sofokles, Eurypides, Arystofan, Szekspir, Molier, Słowacki, Ibsen, Hauptman i t. d.,

Balzac, w niemalym stopniu Tołstoj, Sienkiewicz, w mniejszym Prus. Zaś arcydzieła kojące są zjawieniami tak niesłychanie wyjątkowemi, że w literaturze powszechnej, biorąc ściśle, wysuwa mi się jedno tylko: *Pan Tadeusz*. Pogodnemi są: *Oberon Wielanda*, *Herman i Dorota* Goethego, komedye Fredry, w których bodaj największymi (!) szalbierzami: ogłupiony skąpstwem Łatka, rejent Milczek i Papkin!... A patrzienia tego zmienić nie mogą nawet te dzieła np. Szekspirowskie, w których nieraz poeta wprowadza w zakończeniu nowe moralne siły, karzące w dramacie przewrotne zło. Bo sprawia to bądź-jakbądź efekt osładzania dramatycznej piguły, gwoli chyba dogodzeniu dobrodusznym gustom Szekspirowi współczesnej publiczności.

Dzieła sztuki wielkiej sprawiają tedy silne wrażenie swoją mocą, swoją miłością, swoją grozą. Lecz co jest ostatecznym tych wrażeń *moralnym* celem, co ich wynikiem, co tych wrażeń — wrażeniem?

Podziw. Nie moralność — podziw.

Podziwiamy mistrzostwo w sztuce. Ona zaś, choć w niej wszystkie wrażenia sztucznie są wywołane, posiada jednak dwie rzeczy naturalne: siłę twórczą i właśnie podziw, jaki ona budzi wśród wielkiej konstelacyi rozmaitych wrażeń. Następujące porównanie przekona, że podziw jest szczytowym wpływem w Sztuce.

W epokach silnego społecznego lub politycznego fermentu, wszelkie czyny krwawe, czy jako jego objawy, czy jako kara — odwet — przerażają nas. Jeżeli organizatorowie, wodzowie wrzenia, zadzi-

wiają nieraz swoją sprawnością i odwagą, to przecież silniejszym od podziwu tego jest uczucie przerażenia. Wprost przeciwnie dzieje się w sztuce. W niej groza, choć silna, działa jakościowo słabiej, niż w życiu, bo w sztuce wszelkie katastrofy spotykają nie bliźnich naszych, lecz bliźnich naszych fikcyje; a nad temi moralnie wstrząsającymi, zmyślonemi wrażeniami, góruje naturalne, nie zmyślonne uczucie podziwu, które dłużej trwa, niż wstrząśnienia same; bo one są przecież chwilowe, a więc i temporalnie słabsze od istotnego wspomnianego uczucia podziwu. Tam więc w rewolucyi przeważa uczucie grozy nad podziwem — w Sztuce odwrotnie. Podziwiamy tedy w niej artystę, jego kunsztowne powtórzenie życia, w powabnej lub demonicznej postaci. On jest podziwu owego ogniskiem, a my ogniska tego jednorodnemi promieniami... podziwiamy w nim siebie, ludzki umysł, który w mocy jest powołać do życia nikłe cienie, refleksy, mamidła. I ten podziw kołysze rozkosznie naszą miłość własną.

Tak mi się przedstawia w szczególności artystyczny wynik wrażeń, jakie Sztuka budzi.

Zastrzegam, że choć wrażenie podziwu, o którym mówię, jest w sztuce uczuciem trwalszem zasadniczo, nie twierdzą naturalnie, że inne artystyczne wrażenia, nie oddziałują na nasze jestestwo znamienne; gdyż inaczej nie byłyby w mocy podziwu tego zrodzić. Zaś rozróżnić muszę wpływ oddziaływania na nasz ustrój ogólny i na nasz etyczny zmysł, tj. wpływ na człowieka i na jednostkę

społeczną. Są tu następstwa odmienne. Jeżeli kto przypuszcza, że przeznaczeniem sztuki, siłą jej kon- lub destrukcyjną, jest stopniowe przeistaczanie do- skonaleniem lub paczeniem rasy ludzkiej, do czego teoretycznie przez potęgę swych wrażeń łagodnych lub groźnych, mogłaby mieć pretensję — to rosz- czeń tych sztuka nie ma. Ona nie jest w stanie nas udoskonalić, ani, jak zobaczymy, beznadziejnie zde- prawować.

Ma sztuka swoje ważne życiowe wpływy, choć w zasadzie wprost odmienne od pierwiastków przy- swajanych naszemu zwierzęcemu życiu. Te bowiem, o ile są dobre — mają wpływ fizyologiczny, o ile złe — zły, szkodliwy — gdy wpływy sztuki są nie- tylko różne, ale i w głównych objawach, sprzeczne. Zanim zaś do wyniku tego dojdę, winienem psycho- artystyczną zasadę Sztuki przeprowadzić przez pro- biercze oświetlenie rozbioru, aby ją następnie uka- zać w nagiej prawdzie. Nie uniknę, mimo wysiłków ścisłości — sprzecznych pozorów, choć one w końcu mych rozumowań pogodzą się. Bo sztuka, jak i to, czego ona jest magicznem lustrem — otchłani na- szego życia — jest niezmiernie złożonem i pogma- twanem zjawieniem.

III.

Jednym z głównych pierwiastków Sztuki — jest niezwykłość. Niezwykłość chwili, idei i położeń. Sztuka zawsze przemawia do naszej wyobraźni nie-

zwykłością. Bo ze zwykłością spotykamy się wciąż w życiu, bez specjalnej fadygi, *gratuitment*. Gdyby więc ją podawała nam Sztuka — nie zajęłaby nas i zachowalibyśmy się wobec niej obojętnie, choćby była najzgodniejszą z prawdą życia, tj. właściwie dlatego właśnie. Od Sztuki bowiem prawdy nie domagamy się; lecz, jak wiadomo, prawdopodobieństwa. A przecież prawda w życiu więcej od prawdopodobieństwa waży. Bo to ostatnie, tj. prawdopodobieństwo jest tylko przypuszczalnością prawdy, niezwykłością jej — jest prawdy zajmującym zmyśleniem.

W Sztuce więc wolimy ponętne prawdopodobieństwo od znanej nam bardzo dobrze prawdy życia. Bo tamto nas silniej zajmuje, mocniej podnieca jako niezwyklejsze. A Sztuka, która przecież, mimo wszystko, ciągnie żywotne soki z prawdy życia, wybiera z niego jedynie artystyczny miód przypuszczalności, niezwykłości, prawdopodobieństwa, a pozostałą miązgę wosku, odrzuca jako ścisłą, nudną, poślednią zwykłość. W tym zaś celu artysta musi zamknąć oczy na życia prawdę i zwrócić je do tej, którą znajdzie w wyobraźni, przeistoczoną, prawdopodobną, niezwykłą. Nietylko taką z powodu swych rozmiarów, kształtów, bo te i w sztuce mogą być na swój sposób zwykłymi; ale z przyczyny ich rozwoju, układu, kompozycji, które znów w Sztuce niezwykle mi być muszą.

A przecież mimo to, mimo lekceważenia prawdy przez Sztukę, artysta musi tworzyć w ten sposób, aby owe przypuszczalności, niezwykłości i prawdo-

podobieństwa czyniły wrażenie — prawdy. Zaś tę kontradycję twórczą godzi artysta siłą talentu i osiąga cel logicznością, która znów jest jednym z niedzownych warunków wszelkiej, nie wyłączając fantastycznej legendowej, Sztuki. Apelles skusił roje ptaków do swych łudzaco namalowanych winogron. Lecz ptaki szybko przekonały się, że to urojenie, bo było ono przecież nie prawdą, choć nią było jednak, dowodem efekt osiągnięty — logicznością artystycznych pierwiastków sztuki. Jestto przykład wyjątkowy; bo zadaniem malarstwa nie jest bynajmniej do żywego nas złudzić.

* * *

Rodzicielką i matką mleczną Sztuki jest wyobraźnia i przemawia do pokrewnej sobie naszej wyobraźni, do tego od gwiazd lśniącego sklepienia naszego mózgu. A wyobraźnia, jako siła podniecona i podniecająca, nie należy do poziomów życia, jak rozum, uczucie, wola; lecz jest życia tego superlatywem. Nie lekceważy ona jednak ostatnich, w mniemaniu swem, poziomów naszego oderwanego jestestwa: mędrszego od niej rozumu, czulszego od niej uczucia i od niej energiczniejszej woli — i niemi posługuje się; bo przy pomocy ich dopiero, jest w stanie nas złudzeniem *przekonać, wzruszyć i przykuć* do siebie. Misyą przyrodzoną Sztuki jest olśniewać, zadziwiać przez wyrazy, tony, kolory, kształty, mądrość, głupotę, rozpacz, wesołość, smutek — piękną niezwykłością, choćby piękno to szpetnem być miało.

Wszystkie tedy owe zachody Sztuki, aby nas olśnić i zadziwić, przemawiają, jak wspomniałem, do naszej wyobraźni. A obie one: Sztuka i Wyobraźnia nasza posiadać muszą naiwną wiarę, naiwność. Sztuka dlatego, aby uwierzyła w skuteczność wrażeń udawania swego a wyobraźnia nasza, żeby wiary Sztuki nie zawieść. A posiada Sztuka ten jej tylko właściwy czar, że wtedy nawet, gdy wyciska z oczów naszych łzy, gdy przeraża nas i kości nasze dreszczem przenika — raduje nas, bawi. Bo czujemy mimowolnie, że ta rozpacz i łzy nie z naszego bólu płyną, że wtedy cierpi i płacze jedynie zbałamuciona, łatwowierna, naiwna wyobraźnia nasza, a nie my sami. Zaś wyobraźnia artystyczna, artyzm, ma ten jeszcze wielki przywilej, choć on pozornie wydać się może ułomnością jego, że choć jest siłą twórczą, nie podlega, jak Rozum, ewolucyjnemu rozwojowi i doskonaleniu wśród wieków i tysiącleci; lecz pozostaje zawsze jednaką, elementarną mocą, siłą niezmienną, niby wszystkie zjawiska przyrody, szalejące burze, erupcje wulkaniczne lub łaskawość pogodnego uśmiechu nieba. Sztuka przyszła też na świat odrazu w całości, jak Atene z głowy Zeusa i w tej postaci niezmiennej trwa. Nie mniej piękną jest *Iliada* od znacznie późniejszego Milтона *Raju* lub *Boskiej Komedy* i odwrotnie Hamlet nie ustępuje wcześniejszemu, tragicznie mu pokrewnemu Orestowi. Bo każdy artysta zaczyna od siebie, jest sam w sobie skończonym łańcuchem, nie jednym z kół stopniowego rozwoju i doskonalenia w zależności od poprzedniego ogniwa. Nie, jak w twór-

czości Rozumu, jak w filozofii lub genialnych wynalazkach, opartych na pomysłach, ideach i obliczeniach długiego szeregu poprzednich twórców.

Istnieje wprawdzie między bezpośrednio po sobie idącymi epokami Sztuki zależność; ale to właśnie zależność niepodległa, to raczej zawsze odporność, opozycja, reakcja ideowa lub artystyczna, zwykle jedna i druga, względem poprzedniego zjawiska. Bywają wszakże i w Sztuce epoki zamroczenia, wyczerpania. Zwykle po takim jałowym okresie następuje silny, żywotny zwrot, który nie tylko nigdy nie jest podniesieniem, udoskonaleniem pierwiastków poprzedniego okresu; ale, jak wspomniałem, względem niego raczej wprost artystycznym buntem — i zarazem pod względem istotnej potęgi sztuki nigdy nie jest on zasadniczą negacją bliskich lub najbardziej odległych wielkich artystycznych epok. I chociaż np. odróżniamy (bardzo słusznie) niezależną psychologię Szekspira od starożytnego despotycznego ananke greckich tragicznych, będą to jednak różnice etyczne a nie artystyczne zasadniczo. Bo Szekspir wprawdzie oddziaływa odmiennymi formami i psychicznymi środkami niż Eschylos — obaj wszakże czynią to gatunkowo jednako, wrażeniami grozy i miłości, mocą artystycznego piękna, niezmiennymi żywiołami sztuki. Oto Mojżesz Michała-Anioła, oddzielony wiekami od miłoskiej Wenerzy, nie jest względem niej postępem artystycznym, udoskonaleniem. Oboje są niezależnymi względem siebie arcydziełami tej samej posągowej sztuki. Sztuka nie spaja się, jak powiedziałem, organicznie

i doraźnie z moralnem naszym jestestwem jako przemawiająca do nas zmyśleniem, ułudą, anamorfozą, płynących z matczyne go łożyska wyobraźni twórczej, a dąży do zbudzenia podziwu, który jest żywiołem ogólnym, etycznie obojętnym. Dalej zaś, gdy twórczość rozumu i wiedzy, rosnąc rozwojowo, doskonalili siebie i nas intelektualnie podnosi — Sztuka tego moralnie nie czyni, sama nie ulega doskonaleniu i też swojemi środkami i sposobami i dawniej nie podniosła etycznie ludzkości i następnie tego zdziałać nie może. Bo zawsze jedną i tą samą z góry jej nakazaną drogą iść będzie.

Choć Sztuka zatrwaza nas widmami niedoli, choć najplastyczniej, a więc najskuteczniej, powtarza obrazy wszelkiego zła i budzi współczucie dla zjawień dobra — (ona właściwie budzi współczucie i dla zła, tragizmem naszych przeznaczeń) — udoskonalili nas moralnie nie jest w stanie. Jak często spotykamy ludzi, których widziane przez nich na scenie, w powieści lub w malowidle namiętności, przywary, śmieszności *szczerze* wzruszyły, oburzyły, rozśmieszyły? Potępiają je oni również szczerze — a przecież ci sami ludzie niezmiennie i nieuleczalnie *tym samym* namiętnościom, zdrożnościom i śmiesznościom mimo-wiednie lub świadomie i nadal ulegają. Grecka legenda o wzruszonych do łez kamieniach za odgłosem słodkiej muzyki Orfeusza jest śliczna, artystyczna; a przecież kamienie te wypłakawszy się dosyta, pozostały temi samemi głazami i nie przemieniły się w piękniejsze, doskonalsze od nich dyamenty...

A dlaczego?

Bo ustrój ludzki, natura człowieka zła czy dobra, często mieszana, silniejszą jest od zmyślonych w Sztuce ustrojów. Bajka nie w stanie zmienić prawdy złej czy dobrej, choć złą, jak zobaczymy, może znieprawić bardziej. Twórcą prawd wielkiego zmyślonego świata, jest geniusz, a one genialnymi są i dlatego zdawałoby się, że oddziaływać swymi moralnymi pierwiastkami na nas etycznie powinny. Zależy to wszelako od zasadniczego psychologizowania sztuki na zasadę siły ustroju ludzkiego. Tamte arcydzieła, są genialne twory; ale my, ludzie — objekty, jesteśmy genialniejsi od nich. One choć genialne, mają wady, niedostatki, ułomności artystyczne, bo je tworzą dłonie ułomne. Tylko my, niezmyślone, najczystsze bezwzględne prawdy, w całym naszym fałszu, obłudzie, szalbierstwie, dobroci i szlachetności, jesteśmy artystycznie doskonali bez żadnych braków i niedostatków w niezliczonych odmianach, mimo niewątpliwych szczerb... Bo naszym twórcą jest siła nieułomna, doskonała. A tamte genialne nie mogą na nas silniejszych, genialniejszych, moralnie nie naiwnych, oddziaływać i doskonalić nas wedle naszego etycznego *desiderium pium*. My potomkowie geniuszów zła i geniuszów dobra jesteśmy więksi i silniejsi od moralnego potomstwa artystycznych twórców. Ono żyje z naszej łaski; bez nas nie byłoby go, a my bez niego, tak — my jego twórców protowzory, a ono — kopia z nas.

Jeżeli zaś istotne, niewątpliwe nauki życia, tak zwane doświadczenia własne i cudze, które wielokrotnie opłacamy spokojem i szczęśliwością, są czę-

sto wątpliwymi mistrzami lekkomyślnej natury ludzkiej, to tem wątpliwszemi być muszą moralności, idące ze źródła złudzeń, omamień, prawdopodobieństwa — wyobraźni. — Gdyby nie wyobraźnia, lecz Rozum był twórcą Sztuki, gdyby dzieła artystyczne on płodził, na podstawie swych ścisłych, pozytywnych prawd i praw, czy udoskonaliby nas etycznie, jak intelektualnie wzmacniają nas pozytywne owoce jego?... W każdym razie rozum jest właśnie za mądry, aby się nawet pokusić o to; bo wie, że nas etycznie nic udoskonalić nie zdoła. Ale bo też i sztuka pod tym względem nie ma żadnych roszczeń i ambicyj...

IV.

Zobaczmy — czy sztuka tylko niedoskonałe, t. j. obojętnie zachowuje się względem moralności naszej? Czy ona, zmierzając do swych przyrodzonych celów, do budzenia w nas potężnych wrażeń i podziwu, nie popełnia grzechów, jak to czyni człowiek, z którego przecież została pokalanie poczętą?

Stawiam tedy pytanie, czy przypuszczalnie Sztuka moralnie nas nie osłabia? Byłoby zaiste niemożliwym, ażeby naturalny a tak silny żywioł jak wszechartyzm, przemawiający do nas pierwiastkami niemal wszystkich znanych nam wrażeń, mógł obojętnie mijać się z naszym moralnym ustrojem. W ten sposób stawione przypuszczenie, o osłabianiu naszej moralności przez Sztukę, możnaby odrazu rzekomo obalić argumentem, że gdyby istotnie tak było, to

dzięki ciągłemu jej oddziaływaniu na nas, bardzo długotrwałemu, nie ustającemu w przyszłości — musieliśmy kiedyś upaść tak nisko, że niepodobnaby było znaleźć siły, któraby mogła nas podźwignąć z tych bezdennych moralnych przepaści?

W odpowiedzi na tak rozumowaną, przypuszczalną obawę, muszę przedewszystkiem stwierdzić, że ze wszystkich znanych dotychczas niemoralnych mocy, żadna nie w stanie nas pogrążyć na stałe w takim bezmiarze upadku, któryby prześcignął zasadniczo, dotychczasowy zakres znanych nam w dziejach świata niemoralności ludzkich. Żadna nie potrafi uczynić tego — dlatego, że trzaby na to podwalinowe tkwienie naszego psychofizycznego ustroju przeistoczyć, który jest niezmiennym światem ludzkich wadliwości dotychczasowych. A więc, gdybyśmy uznali stale *dezetyzujący* wpływ sztuki i dodali do niego cały ogrom nadużyć, występków i namiętności życiowych — pamiętać musimy, że wszystkie owe wpływy złe, t. j. przypuszczalne artystyczne i niewątpliwe życiowe, dochodzą w zmaganiu swem do pewnej kulminacji. A wtedy zrywa się ze swego moralnego bagniska sumienie społeczne i występuje z owym złem do walki. Sumienie zaś to w starciu krótszem lub dłuższem, zależnie od poziomu zła, niemoralnego przeciwnika dławi i zwycięża. Wprawdzie rezultaty tego tryumfu nie są trwałe, niezienne, bo stopniowo rozpoczyna się znowu proces powrotnej fali zła, wskutek nigdy niesłabnących, żywotnych naszych ułomności, zła odmiennego, przeistaczanego

śród przemieniających się wciąż stosunków ludzkich, ale niewątpliwego przeciw.

Zobaczmy zaś, jakimi drogami zakrada się Sztuka do rojowiska naszych zdrożności i zapładnia je swem rozkosznie kuszącym zalotnym omamieniem?

Zajrzyjmy w głębokie źrenice psychologii naszej.

Psychologia ta istnieje tak długo, jak my. Ona w oceanie życia, w całości swej, w swym bezmiarze, drgała, falowała, pienila się, burzyła, krzyczała w niebogłose, rozkoszy zawsze łaknęła, odurzała się bliźnich krwią, nastawiała słuch, aby się upajać żalnością krzywdy ludzkiej, radować niedolą cudzą i tak czyniła tysiącami i tysiącami dni i lat, obarczając ogromem moralnej nędzy dziedzicznie, potomnych. Wytworzyła się w tej psychologii naszej niezmierna wrażliwość zła. To zło stało się tej psychologii wyłączną własnością. Wzięła je w wieczystą niewolę, nie dopuściła do niego ani rośliny, ani świegocących ptaków, ani zwierzęcia, które tylko marnego żeru łaknie. Bo ona miała wielkie ambicje zawiści, mściwości, podboju, panowania. Krasą jej bywała przełożna miłość, a ta tamte koila lub ustępowała im, albo rozpałała, gdy potrzeba było...

Można sobie wyobrazić, choć niełatwo, co wśród tych tysiącoletnich wewnętrznych wrzeń psychologii naszej stało się z mózgiem ludzkim, w którym jest miejsce na wszystko; bo on tak rozległy, jak świat moralnych pojęć i całe ich zastępy zawrzeć może w sobie, mimo fizycznej swej małości!...

Lecz przyszły wędzidła rozpasaniom, aby je okiełznać. Nie była miłość moralności kiełznem tem; lecz

zgrzyzota lub obawa kary. Ze zgrzyzotą można sobie poradzić, przekupić ją mądrą samoperswazyą. A czym jest kara, jeśli nie odwetem, nie mniej od winy draieżnym i znów buntującym. Staliśmy się w ten sposób zakłętym kołem win i odwetów. A wspomniane rozwrażliwienie i rozłaknienie naszego instynktu zła, usposobiło nas do odruchowego chwytania pokrewnych mu pierwiastków, z jakiegokolwiek źródła one doń nabiegały. A im narkotyczniejszemi, ponętniejszemi były one, tem je chciwiej moralnym węchem wchłanialiśmy.

Do zastępu tych nęcących nasz instynkt zła pierwiastków należy Sztuka. Obrazy zła w Sztuce bardzo nam przypominają zło życia i z niem oswojają nas. Wymyślne, demoniczne lub subtelne, przez twórczy talent artysty skombinowane przebiegłości i przewrotności bogacą po swojemu nasze doświadczenie, inteligencyę i sprawność, użyźniają pomysłowość naszą i nęcą wrodzony nam popęd naśladowczy. Wszak jesteśmy bardzo pobłażliwi i wyrozumiali na własne zdrożności, a jakże one jeszcze w naszym mniemaniu maleją, gdy mimowiednie zestawiamy je z gromadą posągowo wyrzeźbionych przez artystę, wielkich występków i win. Artysta szuka piękna, gdziekolwiek je dostrzedz może, czy w moralnem idealnie, czy w idealnie szpetnem Pięknie.

Czy zaś to moralne *osłabienie* przez Sztukę jest bezwzględny złem i nie przynosi żadnego pożytku? To pytanie inne, na które w konkluzyi mych rozmowań odpowiem.

V.

Skoro chodzi o wpływ Sztuki, niepodobna omi-
nąć i tej, która nią jest niewątpliwie, a w egotycznym
pojęciu swem, jest nią jedynie ona.

Ta gałąź twórczości we wspianiem drzewie ar-
tyzmu nie chce osłaniać swej niewstydlivej nagości,
żadnym figowym liściem. Pragnie ona odurzać zmy-
sły nasze aromatami wszechkuszącej miłości, i tylko
nią na śmierć nas upajać — nieubłagana, niezłomna
Aphrodisia phrenitis!

Wyłączę tym razem muzykę i architekturę jako
nastrojowe, czyste, jednolite. Chodzi mi wogóle o na-
gość w sztuce plastycznej i w poezji.

Nagość w malarstwie i rzeźbie należy rozumieć
w jej bezpośrednim, ścisłym znaczeniu, bo sztuk
tych osnowa z konieczności prostsza, niezłożona,
ograniczona, nie przedstawia pola do erotycznej płą-
sawicy, lecz głównie zajmuje się artystyczną tech-
niką swoją.

Otóż owa nagość (po za naturalnie pornografią),
nie obraża normalnej moralności. Nie rozstrzyga tu
zaś, jak w sztuce poetyckiej, wyobraźnia widza
wobec obrazu lub rzeźby najmniejszy biorąca udział.
To znaczy, że tu decyduje nie subiektywna współ-
czynność nasza, lecz przedmiotowa plastyczna i op-
tyczna waga dzieła. W rzeźbie pierwsza, w malar-
stwie obie. Są też one nieuniknionemi artystycznymi
warunkami koniecznej, lecz bardzo względnej ułudy.
Bo choćbyśmy stanęli wobec skończonych arcydzieł
plastycznej sztuki, zawsze pamiętać będziemy, że

1) obraz ten jest harmonijnem powikłaniem sztucznych barwników i że daje nam tylko reminiscencye życiowe lub fantastyczne i 2) jeśli to skulptura, płasko lub wypukłorzeźba, nie zapomnimy, że to kamień lub inna martwa bryła, z którymi artysta borykał się, gdy z nich krzesał iskry piękna i pragnie (mieści się to w istocie rzeczy) aby o tem pamiętać. Gdy podziwiamy piękną kobietę — podziwiamy tylko ją — gdy to czynimy wobec obrazu, rzeźby — podziwiamy mimowoli w nich, ich *twórcę*; bo tamta go w znaczeniu artystycznym nie miała, a te muszą go mieć.

Owe zaś warunki składają się na to, aby plastyki artystyczne powiedziały nam wszystko od siebie, nie kusząc do współdziałania naszej wyobraźni; bo jej zadanie tu niemal zbyteczne zastąpione przez oko i logikę widza. Wprawdzie obrazy i rzeźby symboliczne lub fantastyczne dopominają się od nas prócz inteligencji i wysiłku wyobraźni także; lecz ona tu pracuje, aby pomódz nam do wyłuskania zawartej w dziełach symbolicznej lub wizyonerskiej idei; mniej zaś gwoli zbudzeniu ułudy.

Jak dalece chodzi artyście sztuk plastycznych głównie o technicznie artystyczne pierwiastki i ich doskonałość, a mniej o złudzenie, przekonywa i to, że bardzo często maluje on i rzeźbi figury lub płaszczyzny w zdrobnieniu, gdy poeta bez zachodu, mimowiednie, jedno i drugie stwarza w naturalnej wielkości (o ile mu nie chodzi o fantastyczne widziadła), dzięki współczynnemu udziałowi naszej wyobraźni.

A plastycznemu artyście w zdrobieniu wspomnianem, nie może przecież zależeć, aby malował lub rzeźbił karłowate sytuacje lub karzełków-ludzi. Niemi on pragnie, dając wspomnienie świata i ludzi, złożyć dowody artystycznego kunsztu. Bo, jak słusznie twierdzą estetycy, dla artysty plastycznego trudniejszą i ważniejszą jest wykonawczość od wynalazczości — a u poety przeciwnie. Zestawienia tego zastosować nie można do muzycznego twórcy, dla którego wynalazczość i wykonawczość, stanowią moment jednolity.

A dlaczego to tak jest? Dlaczego sprawność technicznie artystyczna musi być podwaliną wspomnianych artyzmów plastycznych?... Bo rysunek i modelowanie malarskie i rzeźbiarskie nosa, oka kryspacji twarzowych, budowy ręki itd., ich dokładność anatomiczna i nadto stosunek realny danej figury lub obiektu do innej lub innych, ustosunkowanie planów pierwszych lub dalszych czyli wogóle tak zwana artykulacja malarska i rzeźbiarska, stanowi o artystycznej a więc zasadniczej wartości dzieła, lub w razie braków — o jej braku. Gdy uczyniono warunkom tym zadość, *bez względu na temat* — dzieło sztuki; gdy uchybiono im, choćby temat głębokim był — tandeta. Wskutek tego też pomoc naszej wyobraźni jest zbyteczną — wystarcza przedmiotowy artyzm. Nawet złudzenie perspektywiczne nie czyni się pod wpływem procesu naszej subiektywnej wyobraźni; lecz jest przedmiotowym ustosunkowaniem planów i płaszczyzn. Jeśli w to wszystko artysta tchnął żar świętego ognia, czyli dał

dziełu swemu duszę, stworzył istotne dzieło sztuki, bez względu na tematyczną jakość kompozycji. Duszą zaś dzieła plastycznego jest idąca od niego na spotkanie nasze ogólna impresja*).

Powiedziałem, że do poznania malowidła lub rzeźby niemal zbytecznym udział wyobraźni naszej, jej współczynność. Należy jednak zarazem pamiętać, że przeznaczeniem sztuk plastycznych (jak i poezji) jest przemowa do naszej wyobraźni i tak też one do nas przemawiają. Bo gdybyśmy wrażenia z nich płynące, wyłącznie rozumem odbierali, wydałyby się nam sztuki te nedorzecznnością, bardzo zręczną, ale nedorzeczną, bo ludzi i sytuacji malowanych i rzeźbionych na świecie niema. Ale co innego przy pomocy jakiegoś psychicznego organu, czy to intelektu, czy też wyobraźni, pojąć daną rzecz; bo tu w procesie tym one biorą udział współczynny — a inna, gdy po spełnionym procesie logizowania, bez współczynności wyobraźni, spontaniczne wrażenie odbieramy. Co innego współtworzyć wyobraźnią (jak w poezji) a co innego dzięki niej, tylko odbierać artystyczne wrażenie. Toż samo dzieje się z muzyką, która przy pomocy trzech swych podstawowych pierwiastków: rytmiki, melodyi i harmonii, czyni technicznie i arty-

*) Ilustrowanie tematu bajki w seryi plastycznych obrazów lub rzeźby np. tryptyki są malarską lub rzeźbiarską licencją, są beletrystyką w dziedzinie plastyki. Starzy greccy mistrze a i uduchowieni mistrze Odrodzenia nie czynili tego. Obraz lub rzeźba winny być jednolitem, plastycznym zogniskowaniem artystycznej idei.

stycznie wszystko i dlatego nie ma ona potrzeby ubiegać się o współczynność wyobraźni naszej, przy której pomocy zaś odbieramy jedynie odruchowo nastrojowe muzyczne wrażenia. Drogą podobnych procesów przemawia architektura faktem rysunku, skończenie ukształtowanych proporcji.

W sztukach plastycznych i w muzyce, wyobrażenia nasza spełnia jedynie rolę aparatu, odbierającego wrażenie — w poezji czynnie nam ona towarzyszyć musi wciąż od pierwszej do ostatniej chwili.

Tu w poezji artysta, w rysunku plastycznym, nie ma potrzeby być anatomicznie ścisłym lub nieścisłym. Wie on o tem, nie myśląc o tem, że myśl czytelnika nie będzie tam specjalnie szukała wadliwości lub dokładności w rysunku lub w modelowaniu, dlatego musi mu wierzyć, bo oko czytelnika widzi, nie patrząc, bo tem okiem jest źrenica wyobraźni jego. Poprzestaje więc poeta na *takiem* a nie innem opisanu figury lub krajobrazu, ażeby imagi-nacja nasza dokładnie dostrzegała swoim subiektywnym procesem dopełniającym, plastyczną intencję twórcy. Czy to będzie Sędzia, Podkomorzy, czy zuchwale plastyczny Rębajło, czytelnik-widz właściwie nie wie, czy rysunek anatomiczny postaci tych jest dokładnie wykonany; bo mu go (jak np. w malarstwie lub rzeźbie) ściśle nie pokazano — byle tych postaci ruchy, głos, psychologia złożyły się na całość sugestyonującą czytelnikowi-widzowi rysunkową i modelarską dokładność owej postaci, dzięki jego wyobraźni.

Gdyby ktoś nie widział był nigdy w życiu kraj-

obrazu, czy *dostrzeże* wspaniale odmalowaną Puszczę litewską poety? Bynajmniej. A *dostrzeże* ją jednak (w tych samych warunkach) w dziele plastycznym, a co ważniejsza, że owej Puszczy litewskiej, choćby czytelnikowi-widzowi nie obce były podobne żywe krajobrazy, również nie *dostrzeże* jej, jeśli zupełnie wyobraźni jest pozbawionym. Dla ściśle tych samych wspomnianych powodów współczynności wyobraźni, w dziele poetyckim *słyszemy* płacz lub śmiech dziecka, trzask i łomot piorunów, a te głosy psychiczne lub przyrodnicze w obrazie lub rzeźbie widzimy. Zaś nie *słyszemy* ich dlatego, że wyobraźnia nasza nie ma tu czynnego zatrudnienia, że słuch nasz skoncentrować się musi w oku, albo właściwie oko zastąpić musi wszystkie nasze zmysły, staje się ich odtwórczym surogatem. W poetyckim dziele wszystkie zmysły nasze spełniają swą naturalną misję — dzięki wyobraźni naszej.

A jednak w pewnych specjalnych razach, artysta plastyczny nie rad poprzestać na upajaniu jedynie naszego oka i estetycznego smaku, a wówczas wyjątkowo kusi on i naszą imaginację współczynną. Sprawia to artysta w ten sposób, że odmalowane lub wyrzeźbione widowisko swe, właśnie zakwefia, nagie kształty przysłania... znacznie przez to redukuje proces widzenia okiem, a budzi go w podnieconej wyobraźni. Podobnież sądzę, że z tych przyczyn malarz Timantes przysłonił chlamidą twarz zboląłego Agamemnona wobec strasznych losów córki jego Ifigenii. Nowożytni estetycy twierdzą, że pragnął artysta w ten sposób bólem nieestetycznie

skrzywioną twarz ojca osłonić swym klasycznie zrównoważonym pędzlem, aby tem nie wykroczyć przeciw zasadniczemu prawom piękna. Pliniusz zaś sądzi, że malarz tak sobie postąpił w przekonaniu, iż powtórzenie w malowidle strasznej rozpaczy przechodziło jego artystyczne siły... Jedno i drugie patrzenie na tę kwestyę wydaje mi się dowolnem. Co do mnie, sądzę, że *artysta*, a nim był Timantes, nie podjąłby wcale moralnego momentu, który, jak tym razem, jest psychoartystycznym ogniskiem obrazu, gdyby był przekonany, że go nie wstanie środkami swymi wyrazić — zamiast spotkać się z zarzutem niedołęstwa. A jednakże Timantes zasłonił i postąpił, zdaniem mojem, mądrze, choć sądzę, nie dlatego, żeby nie obrazić zrównoważonej wrażliwości artystycznej greka-widza. Otóż Timantes *osłonił* twarz ojca świadomie poto, żebyśmy właśnie — tem więcej *widzieli*. Bo żaden malarski mistrz nie zdoła tak plastycznie odmalować podobnej rozpaczy ojca, jak własna ludzka nasza wyobraźnia. Między tem zaś, co powiedział Pliniusz a memi słowami, jest ważna różnica: według niego artysta, nie mogąc sobie poradzić inaczej, twarz poprostu zasmarował, uczynił Pliniusz artystę niedołągą. A wedle definicyi mej, postąpił sobie Timantes z głęboką znajomością tych danych psychologii — wyobraźni naszej, któremi, jako artysta, miał prawo rozporządzać i niemi wspomagać się tak, jak np. malarską farbą... W pewnych razach jesteśmy naturalnymi współtwórcami plastycznego artysty, co dostojęństwu jego nie ubliża. Wszelako muszę przypomnieć, że

sprawa współtwórczego udziału naszej wyobraźni w sztuce plastycznej odnosi się tylko do wyjątkowych wymagań artysty, bodaj do dwóch wymienionych lub podobnych im 1) przez osłanianie nagości cielesnych w pewnych razach i 2) nagości moralnej ojca Ifigenii.

Otóż wobec tak postawionego przekonania, zbyt dużego udziału wyobraźni naszej w sztukach plastycznych, *nagość* pozostaje dla nas otwartym polem podziwiania, nie tylko artystycznie wykonanej twarzy, głowy lub rąk, ale i torsu. Bo w plastycznych sztukach niemal wszystkim jest obiekt, nie mieszczący w sobie żadnych ukrytych przed wzrokiem naszym wrażeń, które wyobraźnia nasza tj. podmiot zmuszonyby był odgadywać, imaginować. A greccy rzeźbiarze mieli specjalny, zasadniczy artystyczny powód — jak zauważył, jeśli mnie pamięć nie zawodzi, Lessing — nie osłaniania nagich kształtów. Bo gdyby tak czynili, czy to obciślejszym chitonem, czy luźniejszą chlamidą, to na zgięciach lub załamywaniach członków tworzyłyby się często nic nie mówiące fałdy, zgrubienia, węzły i gruzły, które nieestetycznie osłaniałyby to, co powinno być widomem pięknem. Nagość więc w pojęciu twórców plastycznych jest jedną z jej głównych naturalnych właściwości, obok wspomnianych technicznych praw. Zaś o tyle jedynie wpływa ona na nas moralnie osłabiająco, o ile czyni to wogóle wszechsztuka.

Zsegregowawszy wszystkie wspomniane motywacje w sprawie malarskiej lub rzeźbiarskiej artystycznej *nagości*, pamiętać należy, że wszystko to, jak

wszystko wogóle, jest względnem, bo nawet naj-niewinniejsza „Zuzanna“ może mieć swoich „dwóch“ lubieżnych „Starców“...

Inaczej, jak w plastycznych sztukach, należy rozumieć rzecz o nagości w poezyi, w pisarstwie. Tu w nagości owej chodzi zresztą nietylko ściśle o nią samą, ale i o pewną wyłączność psychoetycznego pierwiastku, o zapanowanie miłości nagiej, seksualnej jako pandemona, nie znoszącego obok siebie innych, nie erotycznych namiętności! Też tworzy tu artysta nie ludzi, charaktery; lecz istoty o jednym rysie (jak postacie Przybyszewskiego, Ewa w „Dziejach grzechu“ Żeromskiego) wykluczone w artystycznych plastykach, (po za szkicowanemi sylwetami) zawsze w tym samym wyłącznym erotyzmie. Rzecz przedstawia się tak, jak gdyby roszczenia wszelkich innych westchnień i wzruszeń, radość lub jęki innych uczuć ludzkich, nie godne były Artyzmu. Tamte zaś nieubłagane, erotycznie zapładniające naszą wyobraźnię, uczyniłyby Artyzm właśnie — bezpłodnym. Przytem z konieczności, mimo wszelkiej sofistyki, rozmyślają one nerwy ludzkie i etycznie deprawująco ostatecznie oddziałują.

Możemy wyobrazić sobie poetę, powieściopisarza, dramaturga, posiadających specjalny dar mistrzowskiego ilustrowania naszej cielesno-moralnej nagości. Jeżeli oni artyzmowi temu wyłącznie hołdują, pozostają twórczo jednostronnymi, ciasnymi. Nie wolno wprawdzie wiązać się żadnym pospolicym konwencyjonalnym względem, który zawsze w artyzmie działa porażająco; ale niepodobna chy-

ba, aby dokoła nas rozległy się bezustannie i wyłącznie echa płciowego piania, seksualnej czkawki. Właściwie należy oskarżać nagi artyzm pisarski i jego duszę, nie o niemoralność, bo może on mieć, mimo wszystko, konstrukcyjne cele, ale winić go musimy o usiłowanie eksterminacji bogatej przyrody innych namiętności ludzkich, zubożanie, jałowienie artystycznej gleby. Wiemy, jak wskutek analogicznej jednostronności od kilku dziesięcioleci rozpanoszył się w artyzmie powieściowym i dramatycznym, burżuazyjny trójkąt — Artyzm również zwężony, jałowony.

VI.

Widzieliśmy przedtem, że artyzm będzie zawsze słabszym od nas, od naszych uczuć nie zmyślonych i ulepszyć ich nie potrafi. Nadto będzie on w swych zjawieniach demonicznych wzmagać raczej, niż ukrać przykładami demonizm ludzki. Zaś ze wszystkich gałęzi artyzmu w kierunku tym oddziaływa najmocniej poezya w różnych swych formach i odmianach, jako najprzystępniejsza i najsilniej pobudzająca współczynną, dotwórczą wyobraźnię naszą. Muzyka zaś, najodleglejsza od zamętu naszych żądz, podobnie jak architektura, nie udoskonalają nas etycznie. Obie one przechodzą obojętnie po nad naszą moralnością i do nich też nie przemawiają — są bezwzględnie artystyczne.

Co tedy czyni Artyzm, sztuka, z duszą ludzką

po za swoją moralną obojętnością i po za swoim złem? Czy tylko *je* czyni?

O, nie!

Co więc?

Ten ponętny świat urojeń jest tem właśnie dziwny, że, stawiając przed wzrokiem naszym — nas, daje nam somnambuliczne zapomnienie niedoli naszej. A to dlatego, że to, co nam przypomina, przestacza w taki sposób, że odrywa nas od nas samych, od rzeczy szpetnej i złej i to nietylko etycznie, ale ogólnie takiej. Sztuka wielka o moralność nie kłopotce się i przytem moralność tę w ostatecznym swym wyniku wyrozumiałością życiowo prześciga. Ona nas przed wielkim konfesyonałem Idei rozgrzesza, w konkluzyjnym wyjściu budzi w nas współczucie dla zbłąkanego zła, dla ślepych win, dla występków naszej niepoczytalnej duszy. Dla niej niemoralność nie jest nią; ale wzruszającym przekleństwem, przeznaczeniem bez litości, wszechkrzywdą — dobrych i złych. W tem spoczywa inność Sztuki, jej subtelna wyższość od brutalnych, życiowych stosunków. Bo Sztuka jest zjawieniem faktycznie uregulowanem — życie zaś, mimo swych koryt i stawideł, moralnie wieczną destrukcją. Sztuka utrzymuje jestestwo nasze w pewnej równowadze, nie etycznej wprawdzie, lecz życiowej, a z tej równowagi usiłuje właśnie wyłamać nas przeznaczenie nasze. Jest więc Sztuka większą życiową potęgą, mimo swych ujemnych wpływów, od moralności, nie od bezwzględnej, ale od tej dostępnej dla nas, tej naszej. To znaczy, czy Sztuka, choć nie umoral-

nia nas, czy nie daje nam większej ilości dozwolonego szczęścia, i nie utrzymuje nas skutecznie w większym wewnętrznym ordynku i rygorze od samej naszej moralności? Bo gdyby jedynie sztuka nas deprawowała, przynosiłaby nam szkody wyłącznie ona. Skoro jednak wcale nietylko przecież ona to czyni, ale między innymi i ona, przeto dobro życiowe, jakie niewątpliwie rodzi, może być większem od jej szkód moralnych, które w znacznej mierze owym dobrem kompensuje, tem bardziej, że czyni to nie tylko w zakresie przez siebie wyrządzanych szkód, ale i przez inne moralne i społeczne czynniki.

Wyobrażamy sobie tedy świat Sztuki jako artystyczne przetworzenie świata duszy naszej i tego, co ją otacza. Z tą jeszcze różnicą, że w tamtym, w przetworzeniu owym, wszystko jest, dzięki artyzmowi, silniej, wypuklej, ponętniej uwydatnione: i dobro i zło. Powiadam silniej — tak. A poprzednio powiedziałem, że ustrój człowieka, natura jego, mocniejszą jest od zmyślonej w sztuce — tak. W tem niema właściwie sprzeczności. Bo, zdaniem mojem, nie rozmiar siły, nie pion jej stanowi o jej sile, ale jej gatunek. A tu mi chodzi o wyższość, choćby siły mniejszej, bo zmyślonej, pozornej — od istotnej. Sztuka ma tylko pozory silniejsze od życia i dlatego nas niemi udoskonalić moralnie nie potrafi; wszelako potęgą tych zmyśleń i pozorów rozprasza życiową naszą posępność, moralną naszą małość umożliwia. Więc choć nas nie ulepsza jako słabsza od pierwiastków życia, ale tem, że rozwesela je,

upiększa — silniejsza znów od nich. Powtórzę to nieco innemi słowy:

widzieliśmy w poprzednich rozumowaniach, że dobro w przetworzeniu artystycznym nie podnosi nas, bo, oparte na ułudzie; jest nawet od życia pozorami, pięknnością mocniejsze, ale zarazem gatunkowo słabsze od niego. Natomiast artystyczny demonizm, jak usiłowałem wykazać, zniemoralnia nas, bo choć równie jak dobro płynie ze złudzenia, ale mimo to udziela się nam z powodu natury psychologii naszej. Czyli dojść musimy do przekonania, że dobro, płynące ze sztuki, wątlej pokrewne jest naszemu wrodzonemu dobru, niż jej zło wrodzonemu złu.

A dlaczego? Bo widocznie zło było w naturze ludzkiej pierwotnym, więc silniejszym, bo przez to pierwotność zasadniczą — a dobro bardzo stopniowo wytwarzało się w nas dopiero następczo, gdyśmy poczuli i spostrzegli, że ze złem jest nam już nazbyt źle. Wtedy powstała Religia i Sztuka. I pierwsi artyści pragnęli zapewne rozdrażnioną duszę naszą pieśnią ukoić; ale zbudzony ich geniusz nie chciał poprzestać na tej bezinteresownej społecznej misji i zgodnie z naturą żywiołowej potęgi swej, postanowił swym artyzmem wstrząsnąć nami i zbudzić sobą podziw. Tem nas on ku sobie kusi i darzy zadowoleniem, jakim codzienna moralność nasza obdarza nas nie zawsze...

VII.

Pragnę wszystko to, co dotychczas powiedziałem, skupić w jedno i skreślić ostateczny tego wynik.

W dziecięcym wieku naszym opowiadano nam bajki. Owe zakłète, nieraz w swej przewrotności, śliczne królowne, owe strzygi, wilkołaki, wabiły nas, choć trwożyły na jawie i w marzeniach sennych. Łaknęliśmy tych ponętnych, zmyślonych przykrości. Zasadniczo taką samą, choć wybredniejszą, opowiadaną, nuconą, kolorowaną lub rzeźbioną bajką, jest dla nas starych dzieci, artyzm, sztuka. Taką samą... Bajki działają na naszą dziecięcą wyobraźnię, piętnują nasz system nerwowy podrażnieniem, podnieceniem, wrażeniem, osłabiając naturę dziecka zatrważającymi lub pieśczośliwymi pierwiastkami. Taki sam proces psychiczny czyni się w nas pod wrażeniem sztuki: Klitemnestry, Herodyady, Makbety, Regany, te upiory ludzkie — rubensowe męskie gnaty i kobiece cielska, albo ten zakłety, niepokojący, zielony zefir, który z Böcklina wieje, lub urocze tony z „Armidy“ Glucka... wszystkie one pozostawiają ślady w wrażliwej przyrodzie ducha naszego — wszystkie układają się tam w warstwy falujących struchleń, wzruszeń i mistycznych pocałunków. Wszystkie te stopniowo w duszy naszej rusztowane wrażenia okalają nasz prymitywny temperament, wiążą go i osłabiają naszą pierwotną drapieżność obyczajów. A to prymitywne nieokiełznanie jest normalnym, zdrowym, silnym stanem i sztuka swemi

łzami, swem błagalnem zakłębieniem rozrzewnia go i osłabia. Ludzkość, zgorazona owym pierwotnym instynktem, poszukała na to zło leków i znalazła je w sztuce. Ale jak większość hipokratycznych środków, lecząc nasze dolegliwości, czynią nam w innym kierunku szkodę — toż samo sztuka. Ona nas obyczajowo łagodzi, okaleczając moralnie. Proces tych krzyżujących się sprzecznych skutków, tych zgodnie splatających się kontrastów — polega na tem, że sztuka nie hartuje moralnie naszych ośrodków nerwowych, bo je psychologicznie rozmiękcza, osłabia etycznie; choć zarazem osłabia naszą drażliwość normalną, przez co uobyczajają nas i zarazem wprowadza stopniowo w stan dekadencji. Ta zaś znów bynajmniej nie paczy twórczej potencji naszej, a nawet z nią doskonale kojarzy się. Bardzo być może — ja o tem nie wątpię — że upadki moralne i jej wielobarwne obrazy wpływają użyźniająco na naszą wyobraźnię, na geniusz twórczy, co wreszcie jest zjawieniem zupełnie logicznem w myśl takiego pojęcia:

Sztuka osłabia nasz gruby instynkt pierwotny osłabieniem samych nas wogóle, dzięki procesowi wysubtelniania centrów mózgowych, a przedewszystkiem wyobraźni, jako już z natury swej subtelnej. W tym kierunku proces ów, ją, wyobraźnię, jej naturalne subtelne pierwiastki, coraz bardziej potęguje, a więc doskonalą i jej w następstwie artystyczne płody. Czyli, że pojęcia moralnych osłabień i pojęcie rozkwitu sztuki, nietylko nie wyłączają się, ale wprost niejako *warunkują wzajemnie*.

Aby rozumowaniu temu dać podstawę istoty życiowej, zwrócę się pamięcią do dwóch największych epok w powszechnych dziejach sztuki: do jednej ateńskiej — i drugiej, włoskiego Odrodzenia.

Epoka Praksytelesa, Apellesa, Eschylosa, Sofoklesa, Arystofana, Teokryta (obok rozkwitu wiedzy ogólnej w osobie wielkiego ucznia platońskiego) była dniem moralnego upadku Grecyi, a w następstwie przeddniem politycznego. Była to epoka heleńskiej erotomanii, histeromanii, lezbijskich miłosnych konwulsyj, kazirodczych namiętności, porubstwa, uświęcanych refleksami mitologicznej ewangelii, Minotaura zrodzonego z byka i dziewczyny, niby idea ślepego panteizmu.

Czy bylibyśmy w stanie stworzyć coś równie potwornie pięknego, podobnie ujmujących i zarazem głębokich panteistycznych alegoryj, jakie zrodziła mitologia grecka, tj. wyobraźnia grecka! Ale jej niedość było tego Olimpu, tej po grecku wspaniałej rozpusty, tych po ludzku boskich pożądliwości — więc przeniosła je zupełnie już na ziemię i niemi wszetecznie zapłodniła glebę greckiego Artyzmu.

A średniowieczna Italia?!

Epoka ascetycznych pojęć i samookaleczania była reakcją idei Chrystusowej wobec greko-łacińskich kadzielnic miłosnych i gastrofilij. Gdy średniowieczna społeczność złożyła omdlałą głowę na umartwieniach, gardząc dobrem doczesnem, gdy tęskne źrenice zwróciła w pozaświaty, artyzm wśród tych wielkich postów — z głodu umierał.

Nie długo to trwało.

Abnegację zaczęły luzować przewrotne kuszenia, i wtedy zjawił się największy poeta włoski i spiżowemi strofami swemi uderzył w serce ówczesnej rozpasanej ojczyzny — potężny dzwonnik Dante. Ale wszystkie wielkie strofowania i zaklęcia wieszczów społecznych, nigdy nie były w mocy etycznie podnieść pochylających się do upadku narodów: Jeremiasz w Judei, Izokrates w Grecyi, w Polsce Piotr Skarga. I Dante temu nie podolał. Były to wszystko pioruny daremnie trzaskające w sumienie ludzkości, była to krasa mowy, wynurzenia zrozpaczonych wielkich artystów.

Po Dantem przyszedł Petrarca, da Vinci, Michał Anioł, Rafael i cała niebieska plejada „stu pięćdziesięciu“ gwiazd. A to ich wielkie Piękno wyparowało z mokradeł politycznej i moralnej, wyuzdanej, italskiej Pornokracji. We dnie wydzierali sobie krwawemi garściami pałace, miasta i republiki — o zmierzchu pokładali się ze śmiechu, odmawiając lubieżny pacierz z modlitewnika Dekameronu. I owe najwspanialsze kwiaty wyobraźni ludzkiej, które barwiły się wszystkimi czarami wrażeń naszych, wybujały na świat z podścieliska gnoju moralnego.

A może te dwa sprzeczne zjawiska: sztuki pięknej i ułomnej moralności — nie oddziaływały na siebie wzajemnie; lecz niezależnie, równolegle czyniły się?

Zestawienie cielesnej abnegacji w średnich wiekach z ich niewątpliwą martwością artystyczną, a zestawienie tych znów zjawień z wprost przeciwnymi,

w dwóch największych w dziejach świata greko-italskich epokach wszechartyzmu, z ich jednoczesną moralną zarazą, czy nie stanowią silnie przemawiającego za mną tych ostatnich wspólnego rodowodu? Rozpląsane orgie wyobraźni osłabiają maluczkich śmiertelników, a wielkich twórców artystycznie podniecają. Bo w życiu rodzą wielkie kłótnie różnych namiętności i węzły moralno-psychicznych powikłań — pobudka i karm dla artystycznej fantazyi. To nie staje się naturalnie zniecka; takie epoki przygotowują się stopniowo, a pierwiastki użyźniające równocześnie: gwałcenie moralności i zapładnianie nią wyobraźni twórczej, a to wszystko znów na tle danej bujnej psychorasy.

Wprost niepodobna nam znaleźć w dziejach powszechnych artyzmu i jego wielkiego rozkwitu, wśród społeczności spokojnych, dobrodusznym obywateli...

A jednak w życiu naszym bywają wyjątki, wyłamujące się z najpiękniejszego, najmocniejszego prawidła. Bo oto mały kraik, zamieszkały przez spokojnych filistrów, dał nam holendersko-niderlandzko-flamandzki artyzm. Ale podobny wyjątek musi mieć swoje specjalne znamię charakterystyczne, właściwie nie łamiące reguły.

Otóż tu Artyzm był przedewszystkiem niezmiernie jednostronny — tylko malarski. I nie znajdujemy obok niego nietylko rozkwitu poezyi, ale nawet plastycznie malarstwu pokrewnej skulptury. Ta ujawniła się jako mauzolea, grobowcowe rzeźby i nie przyniosła samorodnych arcydzieł. W tym kraiku

narodziło się jedynie (a przeważnie miniaturowo rodzajowe), malarstwo, obok kilku wielkich mistrzów. I ono też, samotne, przekonywa, że twórczy mózg tamecznej społeczności, dziwnie był wyłączny i miał tylko jedno, jedyne skrzydło i to nie pełne. Więc jego artystyczna fantazyja nie zdołała rozwinąć szerokich niebokrężnych lotów z powodu, może właśnie, braku wspomnianych wrzeń, a natomiast posiadała umiarkowaną etnologię i w jej następstwie duże szczyrby w całokształcie sztuki.

Widzimy więc w tem wszystkim wzajemne splątanie i zawistość dwóch sił: artyzmu i namiętności ludzkich. Artyzm na swój sposób wpływa na etykę naszą — zaś poziom moralności naszej wcale nie obojętnie zachowuje się względem wszechartyzmu.

* * *

Tak... cały świat artystycznych zjawień jest nieodłącznym sojusznikiem cywilizacji i rozumu i trwać będzie, dopóki cywilizacja trwa. Gdy ona zaprzęta nas codzienną pracą i doskonali owoce naszej inteligencji — sztuka zapala wszystkie pochodnie naszego mózgu: poryw, entuzjazm, egzaltacye, wiarę w znośność warunków życia. Bez artystycznych wrażeń sztuki możnaby się zresztą zupełnie obejść, a nawet z fizyologicznym pożytkiem, gdyby ją zastąpić nam dozwolono inną, potężniejszą i żywotniej odradzającą nas — Przyrodą. Ale właśnie od niej odsuwa nas cywilizacja, a więc i sztuka, to *bonum necessarium malum*.

Lecz cóżby z tego, skoro i Przyroda owa, ta po swojemu kochająca nas matka nasza, gdybyśmy dla niej — cywilizacyi i sztuce wiarę złamali, przygarnęłaby nas wprawdzie; lecz stopniowo pociągała znowu do krwawego mleka swych pierwotnych kosmatych wymion...

Warszawa 1907 r.

ANTYSEMITYZM JAKO KONFLIKT DWÓCH RAS.

I.

Wszedł Chińczyk przed kilkoma laty do kijowskiej wędliniarni. Parobcy chwytają go za warkocz i drą bez miłosierdzia do rozdarcia skóry na głowie. Chińczyk broni się zażarcie. Parobcy zatłukli go na śmierć.

W Mandżuryi, tuż przed japońską wojną, wszedł żółty syn niebieskiego państwa na którejsz ze stacyj do wagonowego przedziału II klasy. Jeden z trzech obecnych w przedziale tym Rosyan, zerwał się z miejsca i krzyknąwszy: „Co, warkocz tu?!“ chwyta przybyłego za kark, nogą w krzyż i za drzwi.

Pierwszy z tych wypadków opisywały wówczas liczne gazety a drugi — jeden z wyższych urzędników kolejowych w korespondencji petersburskiego „Kraju“.

Byłem świadkiem w Dreźnie, gdzie, zdarzało się, zapijali w kawiarni kawę pojedynczy Amerykanie. I oni na widok wchodzącego nieznanego sobie prze-

kupnia drobiazgów, murzyna, dostawali niemal konwulsyjnych drgań. Przytwierdzają temu na dużą skalę zaprzeszłego roku zbudzone pogromy w Ameryce przeciwmurzyńskie. A z pośród tych wszystkich objawów nie dochodziły słuchu naszego zgrzyty religijnego fanatyzmu. Parobcy w kijowskiej wędliniarni zapewne pojęcia nie mieli o buddyzmie, bywalcy amerykańscy wspomnianych kawiarni nie mogli wiedzieć, jakiej religii był nieznany im murzyn; w Ameryce zaś tłuczeni i tłukący byli wyznawcami chrześcijańskiej wiary. We wszystkich tych momentach odzywały się odruchy rasowe.

W sprawie, o którą mi chodzi, wspomnieć muszę, że niektórzy kraniologowie na podstawie porównawczych pomiarów czaszek semickich i aryjskich, doszli do przekonania, że niema między nimi różnicy kształtu, co wedle nich silnie kwestyonuje istnienie z tego powodu zasady różnic rasowych. Otóż przedewszystkiem kraniologia dotychczas nie jest jeszcze logią ścisłą. Powtóre rozmiary czaszek nie decydują o ich gatunkowości. Wprawdzie gatunkowość oddziaływa na kształt i rozmiar, a chodzi tu zarazem i o istotę mózgu; wszelako w świecie psychofizycznym zachodzą często takie powikłania subtelne a jednak bardzo ważne, że niepodobna i tu względu tego pominąć. A wiemy przecie, że we wspomniałym świecie nauki ufać możemy tej tylko, którą oparto na logizowaniu matematycznie ścisłym. Poza taką zaś, wszystkiego dowieść można, że tak jest niewątpliwie lub dowieść, że jest wprost inaczej — niewątpliwie. Wobec podobnej

sprawności i dowolności ludzkiego sumienia i logiki — gdzie szukać prawdy, aby ją znaleźć? I czy znalazł ją kto poza tablicą Pytagorasa i jej stosowaniami? Ile w ciągu tysiąca lat zluźowało się systemów filozoficznych? Wszystkie one były prawdą w swojej epoce, chociaż każda z nich okazała się przeczeniem poprzedniej. Nie większą, dla mnie przynajmniej, mieć mogą wagę wnioski, dotyczące rasy, snute z zestawień kraniologicznych. Zrażeni zaś podobnego rodzaju wątpliwościami, zwrócić się musimy do tak ważnego szafarza prawd, jakim jest *życie*. A właśnie ono doprowadza nas w sprawie różnic rasowych do odmiennego, niż wspomnianych uczonych, zapatrywania. A życie ma też swoją czaszkę a pod nią mózg swój. Kraniologowie obserwują czaszek tuziny — my obserwujemy je wszystkie od rana do nocy. Oni obserwują je *in statu quo* — my w ich przeficznych momentach i nastrojach.

Przy tej sposobności załatwić się muszę z jedną sprawą jeszcze. Otóż w ostatnich czasach powstały nowe poglądy na przeszłość, zarówno pierwotnego chrystyanizmu, jak i Żydów. Rozpisywał się między innymi o tem Anglik, Chamberlain („Żydzi“). Nad zmianami owych poglądów, choćby one były naukowo dokładne, a niema pewności, czy jutro nie zjawią się jeszcze dokładniejsze... a dzisiejszym przeczące, nie będę tym razem zastanawiać się, bo one w niczem *następstw* przeszłości nie zmieniają. Poniedziałek nieodmiennie płynie po niedzieli, bez względu na to, czy niedziela była w pojęciu dzisiejszych

uczonych skwarną, czy wedle jutrzejszych śnieżną się okaże. A poniedziałek pozostanie niewątpliwym i niezłomnym moralnym wynikiem faktów dnia poprzedniego. Położenie sprawy, o którą nam chodzi, jest takie, jak ją poznamy, a zmienić jej tymczasem niepodobna, choćbyśmy zapatrywania co do odległej w sprawie tej przeszłości, zmienili. A nawet przeciwnie, obecny stan rzeczy, pojęty głębiej, rzuca silne światło na jej odległe pierwociny. Czy zaś Żydzi za króla Salomona mieli włosy koloru blond czy ciemnego, czy osłaniali się do kolan czy poniżej kostek, to wszystko jedno. Niewątpliwą jest: biblia i talmud, stary i nowy Testament. Faktem jest, że idea chrystyanizmu była reakcją przeciw bóżnicy faryzejskiej. A postawienie jakichkolwiek wątpliwości wedle nowych teoryj, kto był istotnie twórcą owych dzieł i idei, bezwzględnie nie wzruszy bieżących międzyrasowych i międzyreligijnych konfliktów. Nad temi więc kwestyami mogę przejść do porządku dziennego, choć uważałem za niezbędne wspomnieć o nich.

II.

Przed niedawnym czasem, jeden z wybitnych naszych dziennikarzy optymistów, rzekł do mnie: ah, antysemityzm u nas jest taką samą nienawiścią, jak każda inna międzynarodowa. Przecież Prusacy nienawidzą Polaków i przez Polaków są nienawidzeni, a Francuzi Niemców i odwrotnie.

Otóż pomijam, że Prusacy, mimo wrogiej swej postawy, właściwie nie nienawidzą Polaków, pragną ich raczej pod wpływem swych cywilizacyjnych fo-
 chów, zasymilować; choć są naturalnie przez Pola-
 ków nienawidzeni. Niewątpliwie Francuzi Niemców
 nienawidzą, choć Niemcy tem uczuciem ku Francuzom
 nie pałają, dowodem między innymi, jak dobrowolnie
 alzatzcy i lotaryngowie w swoim czasie francuzili
 się — ale w każdym razie Włoch nie nienawidzi
 Polaka lub Rosyanina, Polak Hiszpana, Rosyanin
 Francuza lub Austryaka i odwrotnie. Do żydów nie-
 chętnie odnoszą się wszyscy, przynajmniej w Euro-
 pie. Inną więc być musi nienawiść francusko-nie-
 miecka lub polsko-pruska a inna aryjsko-żydowska —
 antysemicka. Tam powodem: *twego łaknę*; w anty-
 semityzmie przeciwie: *nie chcę twego*. Że tak jest,
 przekonywa nas jeszcze jedno zjawisko poważne,
 ścisłe. W Niemczech, w Prusach, wedle praw tame-
 cznych, żydowi wolno być profesorem zwyczajnym,
 oficerem, nauczycielem gimnazjalnym, sędzią; spo-
 łeczeństwo wszelako, jako antysemickie, do tych
 stanowisk żydów bezwarunkowo nie dopuszcza,
 chociaż Żydzi tam cywilizacyjnie zgermanizowali
 się. Mimo wrogiej międzynarodowej walki Prusa-
 ków z Polakami, Polak tam jest oficerem, nauczy-
 cielem rządowym lub sędzią, a Żyd, mimo swej nie-
 mieckości, tych stanowisk zająć nie może. Niektórzy
 radzi powodów antysemityzmu wogóle dopatrywać
 się w zawiści ekonomicznej. W znacznej mierze tak
 być może. W nienawiści antysemickiej nie brak eko-

nomicznej zawiści, lecz owa zawiść jest jednym z *następstw*, ale nie *powodem*. A to duża różnica.

Przyjrzyjmy się zjawiskom tej sprawy, znanym i niedostrzeżonym dotychczas i przyjrzyjmy się ich szczegółom zasadniczym, aby następnie poznać ich kręgosłup istotny.

Więc w obrębach Europy żyje lud, stanowiący zaledwie dwa procent jej ogólnej ludności. Secinami lat gnębiony, prześladowany, tępiony. A mimo to po dzień dzisiejszy wszędzie sterczy, działa i silnie oddziałuje, niemal na wszystkich polach i coraz silniej oddziaływać będzie. Bo jednym ze składowych pierwiastków jego żywotności w kulturalnych sferach jest niepohamowany pociąg do *postępu**), który, jak zaraz zobaczymy, mimo to, będzie go zarazem tępić na swój sposób. Bo nietylko rasa aryjska jest antysemicką, ale i jej cywilizacja także. Specyjalną właściwością mózgu żydowskiego jest, że w nizinach swego bytu, *swojej* cywilizacji, swoich wierzeń, tradycji i t. d. mógłby istnieć nieskończenie, nie zatracając swej żywotności. W miarę jednak jak ten sam mózg owionięty zostaje cywilizacją inną, obcą, t. j. europejską, staje się z nim i to szybko coś zupełnie innego. Budzą się w nim świetne właściwości — ale tym towarzyszą zwyrodniające. Są żywotniejsi od innych, ale i słabsi od innych.

*) Marks, Lassale, Bernstein i inni.

Jaka jest najznamienniejsza cecha mózgu żydowskiego ?

Nadzwyczajna *subtelność*.

Ale owa twórcza subtelność, niezmiernie w swoich objawach zajmująca, jest właśnie subtelną, tj. wątlejszą i dlatego potężnej siły cywilizacji aryjskiej długo nie wytrzymuje bez szkód. Wydaje przez jakiś czas świetne błyski, lecz zarazem ulega dekadencji. Tym redukującym go pierwiastkom aryjskim przychodzą osłabiająco w pomoc obyczajowe, szkodliwie, w każdym razie szkodliwiej oddziałują niż na substancje aryjskiego mózgu.

Szybkość przyswajania sobie wszelkich cywilizacyjnych progresów bogato zapładnia żydowski mózg, ale i osłabia go. Przyjrzyjmy się temu dziwnemu zjawisku przy świetle życiowych faktów.

Aryjski prostak pod wpływem oświaty i zwiększonego dostatku, przyswaja sobie szereg wiadomości ogólnych lub fachowych i życiowych wygód. Pozatem zmienia on się mało. Pod względem wierzeń religijnych, obyczajowych nałogów i wogóle moralnych, a przedewszystkiem pod względem psychofizycznym mało. Co jest naturalnem, więc zdrowem.

Natomiast żyd pod wpływem oświaty i komfortu psychicznie i fizycznie staje się niemal już w drugim pokoleniu jednostką zupełnie odmienną, zarówno on jako mężczyzna, jak i ona, kobieta.

W żydowskich wierzeniach religijnych, podobnie, jak w innych, duży udział biorą formalne pierwia-

stki, zarazem odmienne od wierzeń chrześcijańskiego sąsiada. Owe pierwiastki formalne są wszelako wpływem ich pojęć etycznych, teologicznych i higienicznych wreszcie. Zakazy jeżdżenia lub palenia ognia w sobotę, wielokrotne modły w ciągu dnia i całodzienne przy bezwzględnym poście w sądnym dniu, zakaz jadania trefnego mięsa a odpowiednie przygotowanie dozwolonego i t. d., otóż Żyd *oświecony* zrywa ze wszystkimi owymi praktykami; gdyż inaczej nie stałby się oświeconym i pozostał takim samym obskurantem, jakim był jego ojciec. A ponieważ owe praktyki stanowią organiczną część żydowskiej religii, są jej widowym obrazem, jedzenie np. nieprzaśnego chleba w święta Paschy należy do rzędu grzechów śmiertelnych — zarzuciwszy je, staje się bezreligijnym — nie stając się przez to koniecznie inteligentnym, filozoficznym człowiekiem. Przeciwnie, jak w świecie chrześcijańskim, gdzie mnóstwo ludzi wykształconych i inteligentnych — wierzy. Oświecony Żyd jest bezwyznaniowcem. A ten negacyjny wzgląd, ten ubytek, ten brak, nie zastąpiony innym teologicznym lub wreszcie teozoficznym pierwiastkiem, oddziałać musi na jego wewnętrzne jestestwo. A to niekoniecznie demoralizująco; ale przeistaczająco niewątpliwie, zwłaszcza w jednostkach ogólnie przeciętnej umysłowości.

Lecz przez to nie zamiera jeszcze w nim jego żywotność wrodzona, jego bystrość i energia. Przeciwnie. Pod wpływem oświaty europejskiej, wrodzone dary Żyda potęgują się ze zdumiewającą szybkością. Ludzi inteligentnych, umysłów oryginal-

nych jest między nimi liczba proporcjonalnie większa, niż wśród oświeconych aryjczyków. To bynajmniej nie zmniejsza wyższości umysłowej tych ostatnich nad semicką rasą w zakresie genialnych szczytów. Żydzi w Europie poza licznie utalentowanymi wydali dwóch genialnych ludzi o umysłach, dających nowe odmienne *ja*. Jeden Spinoza, twórca nowoczesnego panteizmu, jako już ściśle filozoficznego systemu, podczas gdy poprzednicy i współcześni jego, nie wyłączając Giordana Bruno, panteistyczne pojęcie wszechświata przybierali w mistyczne kwiaty. Spinoza, jako umysł i jako człowiek, był przeciwnym krańcem teologicznej etyki żydowskiej. Ten zaś antyżyd mógł doskonale urodzić się w swojej rasie, prawem reakcyi, prawem ostateczności przeciwniejszej. Drugim genialnym żydem był Henryk Heine. Ten to był nieodrodnym synem swego plemienna pod względem kontrastów psychologicznych, chociaż i w nim pierwiastek helenizmu sprzecznym jest z zasadniczą etyką judejską. Kontrasty zaś owe są: melancholia i cynizm, szyderstwo obok głębokiego uczucia. Oto np. miłość miała swoich erotycznych apostołów: Anakreonta, Meleagra, Petrarke. Heine był największym jej rzeźbiarzem i swemi pieśniami zbudował miłości monument nieśmiertelny, a ona w tych pieśniach żyć będzie wiecznie, choćby nawet umarła. W poecie tym obok zgrzytliwych rozdźwięków znajdujemy „Pielgrzymkę do Kewlaar“, kilkudziesięciowerszowy poemat, religijnie naiwny, osłonięty kaplicznym półmrokiem, pisany jakby piórem klasztorne, maczanem w kro-

pielnicy. A to napisał Żyd-ateusz-cynik. Jest to więc jakieś genialne „na złość“, choć samo w sobie to kryształowej czystości poezya.

Może jeszcze trzeciego, genialnego znajdziemy — kompozytora Meyerbera — tembardziej, że w muzyce jego, mimo tematów ogólnych, przepływa największa żydowska żałość i płacz i dzwonią w niej posępne godziny dnia sądnego. Należałoby właściwie dla ścisłości wogóle pod tym względem ułożyć proporcję arytmetyczną; bo wszak Żydów w Europie jest liczba stosunkowo bardzo niewielka, a przytem dozwolono im wystąpić na arenę cywilizacji europejskiej dopiero od kilku dziesięcioleci.

Umysł żydowski posiada, prócz przedtem wspomnianych, inną jeszcze znamiennej cechę. Doskonale kojarzą się w jednym i tym samym mózgu pierwiastki teoretyczne z praktycznymi. Jest to zapewne spadkobierczy wynik tego, że przez liczne wieki Żyd we dnie zabiegał w kierunku zajęć praktycznych, a wieczorem ślęczał nad swoją nauką, nad biblią i talmudem. Ten w dwóch kierunkach eksploatowany mózg podlegał wyśmienitej gimnastyce umysłowej. Było to wzajemne luzowanie dwóch kierunków myślenia we dnie i wieczorem, z pożytkiem dla obu — luzowanie dodatnio uznane przez nowoczesne naukowe obserwacje.

Dopóki Żyd prosty pozostaje w *swojej* cywilizacji, wyrobionej w subiektywnych warunkach jego mózgu, nie zatracą swej ciężko wypróbowanej żywotności. Żyd wprawdzie pod wpływem oświaty i jej dobrodziejstw zyskuje na zdrowiu i wyglądzie;

ale ten *plus* nie posiada siły trwania. Bo pierwiastki, które mu go dają, mniejszy mu przynoszą pożytek od szkód, szkodliwych. Powiedziałem, że cywilizacja europejska zapładnia mózg żydowski olśniewająco; ale i reduktywnie zarazem. Jakie więc są objawy tego psychofizycznego upadku?

Wiadomo, że lud żydowski mnoży się bardzo znacznie — gdy przeciwnie Żydzi cywilizowani usilnie tego unikają, unika tego również wogóle burżuazya, ale nie w tym stopniu. Wiadomo, że u prostych Żydów wypadki samobójstw są niezmiernie rzadkie. Natomiast epidemicznie one zapanowały wśród cywilizowanych Żydów młodszego pokolenia od paru dziesięcioleci. Objaw ten już dawniej swoją częstotliwością mnie zastanawiał. Są rodziny w cywilizowanej żydowskiej burżuazji, które samobójstwo wprost pustoszy. Przed kilku laty odczytałem statystykę samobójstw, która mnie w obserwacji mojej bardziej jeszcze utwierdziła. Wedle statystyki tej 65 % samobójstw było wyznania żydowskiego a cyfry te dotyczą i samobójstw zagranicą, gdzie Żydzi prawie wyłącznie do sfer oświeconych należą. Jest to więc objaw w pewnych warunkach rasowy*).

Wiadomo, że lud żydowski żyje w miłości patriarchalnej, w łączności rodzinnej. Wprost przeciwnie dzieje się w rodzinach cywilizowanych Żydów. Tu ujawnia się nietylko rozłączność; ale niechęć, dochodząca do nienawiści wzajemnej, zwłaszcza, że ekonomiczna sprawność jednego członka lub

*) „Kraj” 1901 r. („Statystyka samobójstw”).

gałęzi rodzinnej pobudza bardziej upośledzoną do niechęci, nieraz uzasadnionej, gdyż ta przez tamtą bywa lekceważoną i absenteizowaną. W Żydach wytworzyć się musiało wśród długich wieków, mimo całej ich rezygnacji, większe napięcie nienawiści wogóle. A że nienawiści dwojakiego rodzaju w jednym ustroju być nie może, więc Żydzi pod tym względem zwracają się ku sobie z tą samą siłą danego uczucia. A ponieważ ten zwrot dostrzegamy specjalnie u cywilizowanych Żydów, będzie to więc *minus*, upadek. Jeśli komu wspomniane spostrzeżenie wyda się paradoksalną nieścisłością, niechaj je sprawdza własną obserwacją, byle bez samołudzenia się.

W procesie degeneracyjnym cywilizowanych Żydów, znaczny udział biorą żydówki. Żydówki cywilizowane dzieci swych nie karmią, w przeciwieństwie do prostych. Nie jest dostatecznie wyjaśnionem, czy tego nie czynią przez próżność lub sybarytyzm, czy też istotnie wskutek braku pokarmu. Bardzo często z tej ostatniej przyczyny, co również jest znamiennem. Fizjologia zaś poucza, że organa, nie spełniające naturalnego swego przeznaczenia, ulegają zanikowi, zaś w kierunku zasadniczego przeznaczenia kobiety, wspomniane organa czynią dalsze głębsze spustoszenia drogą fizjologicznej organicznej łączności. Skutki systematycznego uchylania się od karmienia potęguje reduktywnie unikanie rodzenia*).

*) W tym samym stopniu, jak wiadomo, grzeszą i francuzki. To też ów *coitus reservatus* wy daje złe skutki, jak np.

Wszystkie te objawy wśród cywilizowanych Żydów mają się w stosunku wprost odmiennym do życia Żydów prostych. Zarówno samobójstwa, brak rodzinnego współżycia, niechęć karmienia i rodzenia, niedorzeczne pojmowanie oszczędności jako skąpstwa, są niezmiernie rzadkie wśród żydowskiego prostego ludu *).

Zdawałoby się więc, że te niszczące siły, wywiązujące się szybko w ustroju Żydów, gdy przechodzą w sferę oświaty europejskiej, uczynić ich powinny kiedyś, gwoli zadowoleniu antysemitów, nieszkodliwymi, jako ubywającymi. Tak jednakże nie jest. W miarę samotępienia pod wpływem wspomnianych czynników, przybywać będą nowe zastępy jednostek cywilizujących się z pośród żydowskiego żywego proletariatu. Nadto, sfery cywilizowanych Żydów z postępem czasu zapewne podlegną psychofizycznej eliminacji. Dzięki prawu probierza, silniejsze jednostki przystosują się do nowych warunków, ofiarami słabszych, drogą naturalnej, choć powolnej trzebieży. Tę, rzecz prosta, było względnie zbawiennem dla kulturalnych sfer żydowskich, tworząc sferę inną — ale do rozwiązania kwestyi przyczyniłoby się wątpliwie. Owa bowiem eliminacja zrodziła by jednostki silniejsze obok ich kultury,

liczne wypadki odnośnych nowotworów, bardzo nie częste u polskich żydówek prostych, jak stwierdza Nr „Zdrowia“.

*) W tej sprawie degeneracyi, zabierali głos zeszłego roku dwaj wybitni uczeni żydowscy: profesor moskiewskiego uniwersytetu Dr Minor i słynny psychiatra berliński zmarły niedawno prof. Mendl w książce pod tytułem „Die Entartung und Juden“.

nie zniwelowałyby jednak psychorasowych różnic. Przypuszczam, choć tego bezpośrednio nie badałem, że dzięki temu prawu właśnie i jego następstwom, Żydzi na Zachodzie pierwszorzędne zajmują we wszystkich kierunkach stanowiska, z wyjątkiem tych, których im, jak w Niemczech a nawet w Szwajcarii*), zajmować nie pozwalają. Właściwie, ograniczenia pól działalności Żydów są istotnie z natury rzeczy — bardzo ograniczone. Oto po prostu dlatego, że przemysł i handel, w których górują, dają im znaczne środki materialne, przy pomocy których zdobywać mogą dziedziny idealne, tj. wiedzę i uprawiać wszystkie krainy sztuki, zarówno w charakterze konsumentów, jak i twórców. Świat więc materialny, jak i idealny, mimo ograniczeń, zawsze przed nimi stać będzie otworem, a te dwa światy nieskończenie są rozleglejsze od stosunkowo niewielkiej dziedziny mniej przystępnych urzędów oficjalnych.

Powiadają, że każdy Francuz rodzi się aktorem. Skoro tak mówią, muszą być powody. Wedle mnie zaś prawie każdy Żyd rodzi się literatem, mimo merkantylizmu tej sfery. I również dla mnie nie ulega wątpliwości, że za lat kilkanaście u nas dwie trzecie polskiego piśmiennictwa stanowić będą Żydzi i to nie jako pojedyncze, choć liczne tu i owdzie jednostki, ale całymi rodzinnymi grupami, co zresztą również będzie objawem ich dekadencji. Ten sam dar kombinacyjny w czynnościach finansowych,

*) Stanowiska sędziów i nauczycieli szkół niższych i średnich.

zużytkowany być może przez nich w kombinacjach literackich obok niezatraconej orientalnej marzycielskiej wyobraźni. Rzecz prosta, że krach giełdowy sam przez się nie natchnie giełdjarza artystycznie-twórczo; co najwyżej uczynić może jego samego bohaterem smutnej tragedii. Beletrystyczny artyzm, przy obserwacji życiowej, wrodzonego dowcipu, (powszechnego wśród Żydów) polega głównie na darze kombinowania fabuły i scen, na zręcznym zestawieniu i wikłaniu duchowych pierwiastków. Lecz i w kombinacjach handlowo-spekulacyjnych działa pierwiastek twórczy. A nie sądzmy, że twórczość ta jest zupełnie odrębnym światem, nie mającym nic wspólnego wewnątrznie ze światem twórczości innej. Zwłaszcza, że jak powiedziałem, Żydzi łączą w sobie zdolności praktyczne z teoretycznymi. Różnica zaś owych dwu twórczości polega w znacznej mierze na różnicy obiektów, które w twórczości handlowej są często poziome, marne — w artystycznej podniosłe, szlachetne. Dlatego tamte posiadają wartość przelotną, a artystyczne trwalszą.

W sprawie tej należy dodać jeszcze jeden ważny moment twórczego literackiego procesu. Należy dodać drogą atawizmu mózgi, nasiąkniętym bólem, chroniczną rozpaczą. A to oddziaływa użyźniająco na wyobraźnię twórczą. Więc pióru Żydów przybywa, prócz ogólnych, rzecz specjalna, podnieta subiektywna cierpień własnego plemienia.

III.

Żydzi wogóle — postępowi i zachowawcy — bronić się będą u nas wobec asemityzmu społecznie i moralnie tem, że ich wielowiekowy pobyt na tej ziemi, z drugiej strony utrata samodzielności politycznego bytu Polski, zasługi w różnych kierunkach, które niewątpliwie mieć będą — a których do niedawna mieć nie mogli z powodu ograniczeń i obskurantyzmu — równają obie strony w ich polityczno-społecznych roszczeniach.

Wciąż i oddawna rozlegają się moralne gromy nad głowami prostych Żydów. Przyjrzyjmy się bezstronnie i weźmy ich z innego, dotychczas prawie niedostrzeżonego stanowiska. Zarzucano im, jak wiadomo, trudnienie się lichwą. Przez długie czasy, czym się trudnić mieli? Wszelako już przed dwudziestu kilku laty, w porze (1881 r.) rozruchów antyżydowskich, okazało się (wedle cyfr podanych przez Bolesława Prusa w „Kur. Warsz.“) że w Warszawie było 2000 żydowskich rzemieślniczych rodzin. Kto zna prowincję naszą i patrzy bezstronnie, wie, jak znaczna liczba krawców, szewców, kowali, smolarzy, rekrutuje się z pośród żydowskiego ludu. A mniejsza w danym razie o to, fuszerów czy biegłych, bo tu chodzi o zasadniczo moralno-społeczną stronę tej kwestyi. Nadto w ciągu ubiegłego ćwierćstulecia warsztaty rzemieślnicze przy ulicy Śliskiej, obecnie Grzybowskiej i przy ulicy Stawki wykwalifikowały znaczną liczbę rzemieślników Żydów, i to bardzo biegłych w różnych kierunkach kunsztu rze-

mieślniczego. Co się tyczy wspomnianej lichwy, to zmniejszyła się ona znacznie w następstwie ułatwionego drobnego kredytu, prawa przeciw lichwie i wskutek zwiększonej liczby rzemieślników i rękodzielników żydowskich.

Dotknąwszy zaś tak ważnych punktów, musimy zarazem przyjrzeć się bliżej wnętrzu *obecnej* duszy żydowskiego zachowawczego ludu. Bo ona zbudziła się na swój sposób.

Otóż przedewszystkiem zapytajmy, co tak silnie powstrzymuje lud żydowski od oświaty ogólnej i co mu ją, mimo to, ułatwi pod odmienną wszelako postacią? Powstrzymuje go więc to, o czem wspomniałem, mówiąc o cywilizowanych Żydach, którzy, wprawdzie nie przestawszy być Żydami, wiarę żydowską utracili. A tego zachowawczy lud żydowski obawia się, obawiając się zarazem i przyczyn tego skutku, t. j. oświaty europejskiej. W tym właśnie punkcie otwierają się przed nami obecnie zupełnie nowe, ważne widnokreśli.

Zwłaszcza od czasu ubiegłej rewolucji niezmiernie szybko rozrosło się dziennikarstwo i literatura beletrystyczna żargonowa. Mówię o politycznie legalnej. A oboje pod względem wartości swej zasadniczej nie ustąpią wkrótce dziennikarstwu i bieżącemu piśmiennictwu ogólnemu. A że prawie każdy Żyd umie czytać po żydowsku, przeto dziennikarstwo i piśmiennictwo żydowskie szybko rozpowszechni się i wpływ duży mieć tam będzie. To, co mówię, uważać można za fakt w niemałej mierze

już spełniony*). W ten więc znów sposób drogą żargonowego języka nabędą Żydzi konserwatywni wiadomości różne, ogólne i poza żydowskimi, oświatę. Przytem nie zatracą oni nic ze swych ludowo-żydowskich pierwiastków, ze swej nieosłabionej żywotności, ze swych cnót domowych, oszczędności, tradycyi i t. d. Nadto w ludzie żydowskim zbudziła się w ubiegłej rewolucyi, jako widocznie dotychczas siła utajona, odwaga, granicząca z nieustraszonnością i zdolność poświęcania życia dla idei. Ta wreszcie w nich tkwiła i dawniej. To zaś w połączeniu ze wspomnianymi pierwiastkami społecznymi i ekonomicznymi — daje nam obraz żywiołu, zjawiska, mocy.

Zachodzi tedy pytanie bardzo wielkiej wagi. Jakie miejsce socyalne zajmie w narodzie polskim ta nowa fala społeczna? Jaki pożytek lub jaką szkodę przyniesie? Ta zaś dotychczas nawet u swych postępowych współwyznawców żyjąca w lekceważeniu klasa — lekceważyć się nie pozwoli, mając w śmiałej ręce broń, nieraz ostrzejszą od końca szpady — pióro. Zająć więc ona gotowa stanowisko poważne — tembardziej, że zapewne przestaną się zmniejszać jego zastępy (rozumie się zachowawcze) liczbą tych Żydów, którzy dotychczas parci łaknieniem ogólnej wiedzy, znajdują w przyszłości ujście dla siebie

*) Gdym to pisał przed kilku laty, dziennikarstwo żydow. było niemal w zaczątku i nie przypuszczałem, że przewidywania moje tak szybko i z taką siłą ziszczą się. I też w ten sposób u nas piśmiennictwo semickie albo raczej semitów będzie miało dwa różne odłamy: polski i żydowski.

w tym kierunku, w swoim własnym zachowawczym środowisku. I to nie degerującym, więc zdrowem.

A czy ten obraz przezemnie naszkicowany przyczyni się do rozwiązania u nas sprawy żydowskiej? czy ją raczej bardziej jeszcze powikła?

Jedno zdaje się nie ulegać wątpieniu, że stanowią oni będą jakąś wielką partycją nacjonalistyczną, różnicowaną co najwyżej subtelniejszymi frakcjami; zapewne bez pozytywnych dążeń do emigracji syońskiej. Zaś wobec mniejszych lub większych swobód jaki tu stosunek wywiąże się do społecznego ogółu? Czy będzie mógł się wytworzyć pewien wyraźny, trwały *modus vivendi* obustronnem paktowaniem, czy też walka na tle różnicy plemiennej?

IV.

Dotychczas optymistyczni asymilatorzy wierzą, że przez oświatę ogólną, postępową, zdołają religijnych Żydów stopniowo za sobą pociągnąć i zasymilować ich. Wobec jednak wspomnianych nowych objawów ludowo-żydowskich, sprawa przybiera postać inną, zwłaszcza przy motywach głębszych, o których następnie pomówimy. Przymusowe szkoły ludowe z wykładowym językiem polskim nie wiele temu zaradzą. Zawsze Żydzi konserwatywni każdy inny język uważać będą, że wspomnianych już powodów — jako antyreligijny i choć się języka polskiego wyrzekać nie będą a nawet w stosunkach praktycznych uznają jako pożyteczny — ale swego

nie zarzucają. Jak nie zarzucili — w odwrotnym stosunku — polskiego języka Ślązacy, mimo kuszącej ich burżuazyj i kultury niemieckiej — choć niemieckiego z powodów praktycznych, nie odpychali. A w pojęciu konserwatywnych Żydów, żargon nabierze większej jeszcze, bo obok tradycyjnej, lingwistycznej powagi, dzięki rozwojowi piśmiennictwa żargonowego i jego wpływowi. Wprawdzie Żydzi postępowi dokładać będą wiele starań, z powodu swych asymilacyjnych dążeń, aby na ten lud oddziaływać, nad nim popracować. Tak czynili i czynią w zakresie owocnego rozpowszechniania rzemiosł „warsztatami“ — ale skutek tu okaże się bardziej jeszcze wątpliwy, niż dotychczas. Bo oprócz przyczyn już wyłuszczonych, konserwatywnych, staje przyczyna społeczna. Znaczna bowiem liczba Żydów robotników, rzemieślników, rękodzielników zsocjalizowanych odnosić się będzie do burżuazyj postępowo-żydowskiej wrogo, jak robotnicy nie żydowscy w stosunku do przedstawicieli kapitalizmu wogóle. Burżuazyjni Żydzi przemysłowcy unikać będą takich robotników Żydów, zastępując ich chrześcijańskimi, o ile można narodowcami. To bardziej chyba jeszcze zaostrzy wspomniany separatyzm żydowsko-żydowski, który antysemitów wprawdzie nie wzruszy, ale sprawie asymilacji nie pomoże.

Swoją drogą sądzę, że przyjdzie chwila i niezbyt odległa, gdy z powodu wspomnianej transformacji żydów konserwatywnych, będą oni mogli w wielu kierunkach wykazać swoją wyższość nad postępowcami Żydami.

A więc spotęgowanie sfery postępowych wpływów i siły żydowskiej, mimo równorzędnie idącej ich degeneracji względnej; dalej zaś równoległe a wybitne wzmoczenie się pierwiastków intelektualnych a tem samym i społecznych, Żydów zachowawczych; otóż to wszystko na podstawie bieżących prądów i codziennej logiki, doprowadzić nas winno do pytań konkretnych, bezstronnych. Ponieważ zaś chodzi w tej sprawie o antysemityzm, w mniejszym lub większym stopniu przenikający niemal całe społeczeństwo polskie, jak wiele innych społeczeństw w Europie — otóż jak społeczeństwo na te przezemnie skreślane objawy, reagować będzie? Ponieważ zaś fundamenty całej owej niechęci stanowią i nadal różnice plemienne i ich organiczne właściwości, bo inaczej byłoby społeczeństwu obojętnem kto daje swą pracę i myśli, byle właśnie dawał ich jaknajwięcej — przeto strona przeciwna, Żydów uważać będzie wciąż jako swych niewątpliwych adwersarzy, wobec których i asemicka reakcja rosnąć musi.

Bogiem a prawdą pozostają Żydom właściwie dwie drogi: albo bezwzględna apostazyja idei pogaństwa żydowskiego t. j. poprostu chrzest — albo syonizm lub nacjonalizm a czy on będzie Herzloski czy zmodyfikowany — wszystko jedno. Zaś asymilacya zrodzi jedynie liczne wyjątki, które będą żyć między innymi i dlatego, aby chronicznie stwierdzać prawidło. Skoro zaś ludzi się trudno, aby całe masy żydowskie zechciały przejść na chrystyanizm a ogół żydowski, w dalszym ciągu trzy-

many w oddaleniu, kształtować się będzie po swojemu — utworzy on więc z siebie w myśl poprzednich obserwacyj, zwarty obóz, odraczając na długie lata asymilacyjne marzenia w rozległej osnowie tego pojęcia.

Muszę jeszcze, wcale nie nawiasowo, objąć zjawisko rodzące się u nas od przeszło półtora wieku, ważne. Lekceważono sobie książkę T. Jeske-Choińskiego (zatwardziałego zresztą konserwatysty) p. t. „Neofici w Polsce“. Jestto praca niezmiernej wagi; choć niepełna, bo niepodobna, aby jeden człowiek zebrał ze wszystkich parafij w Królestwie, w prowincjach zachodnich i Galicyi wyciągi metryczne żydowskich neofitów. Ale to co w książce tej zawarto, spore jest. Kto uważnie i rozważnie zastanowi się nad tym katalogiem neofitów, dojdzie do przekonania, że po za mieszczaństwem niemieckiego pochodzenia, całe mieszczaństwo polsko-katolickie i w pewnej mierze polsko-ewangelickie — jest pochodzenia judejskiego. A nie mówię tu bynajmniej wyłącznie o frankistach, ale o całej gromadzie mniejszych i większych przemysłowców, rękodzielników, staromiejskich sklepikarzy, szewców, krawców itd. Gdy na tę okoliczność zwrócił uwagę Choińskiego odpowiedział mi, że mam zupełną słuszność, przy czem dodał z niechęcią: eh, mnóstwo, prócz tego jest szlachty, żydowskiego pochodzenia. Dodaję przytem, że bardzo znaczna część neofitów we wspomnianej książce, należy do odleglejszej przeszłości, zaś w ostatniej epoce ilość neofitów wzmożła się bardzo.

W ten więc sposób rasa polska krzyżuje się z żydowską w niemałej mierze; przez co zasilana jest właściwościami judejskiej rasy, jej energią, rzutkością, wytrzymałością, śmiałością i jej antyrytynizmem i pociągami w kulturze do postępu. Wszystko zaś to bynajmniej nie przyczyni się w zasadzie do zasymilowania żydów; ale uczyni raczej konflikt bardziej uporczywym i przewlekłym, dzięki pomnożeniu wspomnianych pierwiastków żydowskich w żyłach polskich. Bo powtarzam, że ani plutokracja żydowska, poza jej neofitami, ani burżuazja lub drobnomieszczaństwo i głównie zaś — proletaryat — nie zasymiluje się. Bo sprawa ta jest zamkniętym kołem, zamkniętym silną różnicą rasy, jak to następnie postaram się dokładniej wykazać.

.

Możeby jednak należało spróbować etyczno-społecznego sposobu? Nie wątpimy przecież, że reakcja wywołuje przeciwdziałanie. Przykłady zbyteczne. Może więc Żydzi mimo odmienności swej, upodobniliby się do swego aryjskiego okolenia i w niem utonęli, gdyby im przyznano wszystkie bez wyjątku polityczne i społeczne prawa i w życie je wprowadzono? Wobec ustania społecznej reakcji, może przestaliby przeciwreagować i sobą byćby przestali?...

Jestto jednakże eksperyment w pojęciu ogólnospołecznym, antysemitycznym — niepewny. Bo nawet we Francji niepodobna nie dostrzedz antysemitycznych objawów, a więc z drugiej strony i semickich, mimo to, że we Francji jest Żydów $\frac{1}{3}$ część procentu

tylko. Tuby przecież utonąć i zniknąć już powinni dobrowolnie lub mimowolnie. A przecież Drumond miał tam powodzenie lub sztucznie wywołana sprawa Dreyfusa. Jest we Francyi antysemityzm bardzo znacznie mniejszy; bo też i Żydów znacznie mniej tam. Ale w każdym razie muszą być i potemu rasowe pobudki.

A może i te argumenty nie powinny zrażać? Bo może kilka dziesiątków lat nie starczyło, aby gruntownie zmienić to co trwało liczne stulecia obustronnie. A może Żydzi we Francyi wygaśliby już zupełnie, jako Żydzi, gdyby tych w nich tlejących jeszcze iskier nie rozdmuchiwał wicher — od nas idący? Może oni mimowiednie reagują na silne objawy polsko-rosyjsko-rumuńskiej judofobii i tem samem pielęgnują w sobie pierwiastki żydowskie na podstawie odruchu? Jestto bardzo prawdopodobne.

Po tym więc całym szeregu kwestyj i przypuszczeń wniknąwszy głębiej w naturę sprawy, muszę przedstawić jeszcze jedno ostateczne zapytanie i skreślić na nie odpowiedź wyczerpującą:

Zapytuję więc: czy ogólna równość polityczna, dalej żywotność narodów wśród których Żydzi żyją, tych narodów zwyczaje i tradycye, ich etyka i zdolność asymilacyjna, nadto klimat i gleba, nie stwórzają razem wzięte tak potężnego spoidła, któremu by się oprzeć nie zdołała, albo raczej weszła z nim w psychofizyczny bezwzględny kompromis, mimo swej dotychczas nie wyczerpanej żywot-

ności — komórka żydowskiej substancji mózgo-
wej?...

Na to ważne zapytanie spróbuję odpowiedzieć.

V.

Ażeby zaś uczynić to, trzeba nam jeszcze grun-
towniej poznać, dlaczego w tej sprawie tak jest,
jak obecnie jest? Trzeba nam poznać najgłębsze
jej tkwienie, jej religijno-rasowy spód. To zarazem
zapozna nas z judejską etyką, z tym etycznym kli-
nem, który rozsadzał i rozsadzać będzie jeszcze
długo wieloletnie zachody, usiłujące rozwiązać ów
nodus gordius, ów węzeł frygijskiego króla, z wła-
szcza, że brutalny miecz Aleksandra W. przecina-
niem sprawy nie załatwi.

Ponieważ powodem nienawiści do Żydów po
dzisiejszy dzień był akt Ukrzyżowania — uczucie
to uważać należy jako dziewiętnaście wieków trwa-
jące nieporozumienie, jako chory odwet, jako kli-
niczną niedorzeczność. A większej chyba nie zna-
leźlibyśmy w historii powszechnej, a nawet równej
nie. Bo przecież i Jehowa nie karał za winy przod-
ków wytrwalej jak do czwartego pokolenia, a i ten
wyrok wydaje mi się nieco dziwny... Prócz tego
nienawiść wspomniana jest grzeszną sprzecznością
z istotą chrystyanizmu, który każe przebaczać na-
wet wrogom; czyli że ta nienawiść jest właściwie
nie antysemitką, ale antychrześcijańską raczej. Chyba,
że Chrystus nie prawił o przebaczeniu win; lecz

w takim razie nie byłby Chrystusem; a przecież był nim najniezaprzeczalniej. Zobaczmy, czy tylko to jest przyczyną dziewiętnastowiekowego sporu.

Otóż dostała mi się książka, drukowana przed rokiem w Berlinie, Dra Fromera, zrodzonego i wychowanego niegdyś w fanatycznym okoleniu żydowskim w Polsce. Książka pod tytułem: „Istota Judaizmu“ *). W tej pracy swojej posuwał się autor mrocznymi kniejami biblijno-talmudycznych badań, rozświetlając ciemności ich spokojnie płonąca pochodnią swego jasnego i śmiałego umysłu. Jako uczonego talmudysta i hebrajstę a przytem ogólnie utalentowanego pisarza, cofnął się do odległych pierwocin a osnowa jego rozumowań w kwestyach zasadniczych jest następująca:

W religii żydowskiej panuje despotycznie etyka. Ona, o ile tylko zdarzyła się po temu religijna sposobność — tępiła wszelkie naturalne religie, które wypływały z estetycznych potrzeb człowieka. Polegała ona również — ta religia — na coraz uporczywszem przestrzeganiu czystości i odrębności, które usuwały bezcelowe tj. bezetyczne łączenie się z naturą i z sąsiednimi narodami — polegała ona również na usuwaniu wszelkiej niereligijnej sztuki — polegała na osłanianiu się uroczemi iluzjami cudowności, o których najwyraźniej mówi Pismo św., aby lud uczynić posłusznym. I polegała na wierze, iż na elementy przyrody wpływa stosunek człowieka do Stwórcy i na nieodmiennem wierzeniu, że losów

*) „Das Wesen des Judenthums“.

wojen nie rozstrzyga ludzka przemoc, lecz jedynie wola Boga, kierowana etyczną zasadą — i nareszcie na przekonaniu, że naród jako ustrój organiczny, koniecznie przecież powstać musiał w warunkach czasu — *jednak wiecznie istnieć może.*

Wszystkie zaś te pojęcia — rozumuje Dr Fromer — przestrzeniowo, temporalnie lub przyczynowo są nieściśle lub nielogiczne. Zasadnicza tedy idea żydowska nienaturalną jest i niewykonalną, co sprawdziło się podczas istnienia państwa żydowskiego, a mianowicie :

1) w wielokrotnem przemieszczaniu się Żydów swemu Bogu i w potępianiu przez wszystkich proroków występnych czynów narodu tego, które to czyny w istocie rzeczy nie były niczem innym, jak tylko elementarną opozycją przeciw uciskowi estetycznych i wielu ogólnych potrzeb człowieka i

2) ujawniała się owa nieziszczalność idei żydowskiej w społecznie anarchicznych i politycznie niewykonalnych stosunkach. Stosunki zaś te panowały w judaizmie już od epoki Machabeuszów; a więc wogóle od czasu dziejowo znanej nam historii Żydów, aż do upadku ich państwa.

Tak przedstawia Fromer moralny całokształt teologii i socjologii żydowskiej, które gruntownie zna.

Wobec jego źródłowego poglądu, winienem dla szczegółowszego wyjaśnienia dodać od siebie, że u starożytnych Żydów — mimo ich kultury — nie było sztuki, konkretnych owoców artyzmu w ścisłym pojęciu tej definicji. Nie było liryki, dramatu, rzeźby i malarstwa. I to, co było silne wymową w sta-

rym testamencie — proroctwa i treny stwierdzają właśnie wspomiany pogląd Fromera o usunięciu wszelkiej niereligijnej sztuki. Statua, korona greckiego geniuszu, była dla ich etycznego sumienia z piekła rodem. Bo to wszystko są pośrednie emanacje ludzkiego ducha, niegodne najwyższych celów. Psalmiczny wylew temu ich pojęciu nie przeczy, ani Pieśń nad Pieśniami. Psalm był hymnem bezwzględny, subiektywnym wzniesieniem rąk do Boga. Jak gdyby niem chciał obmyć bardzo grzeszną swą duszę lekkomyślny kochanek i mąż Betzabei. A Pieśń nad Pieśniami, arcytwór miłosnej poezji, powstała zanim jeszcze etyka judejska zrodziła pedantyczną askezę. Apostołowie jej nie wierzyli, że ta pieśń jest gajem, płonącym wszystkimi ogniami miłości; lecz alegorycznym romansem między wiecznie wstydliwie zakwefionym Jehową a wybranym oblubieńcem jego, Izraelem. Przerażeni oni obawiali się, aby na twarz idei tak czystej nie padł choćby najdrobniejszy cień owej zmysłowej, zrodzonej z erotycznej piany mórz, wszechzałotnicy Afrogenei.

Ale owa miłość, która pałała ze strony oblubienca w biały dzień wielokrotną modlitwą a w posłonecznym wieczorze rojeniami o mesyanicznej przyszłości.. ale ta z twardych ogniw spojona miłość, z czasem zaczęła rodzić na razie głuche szemrania, potem coraz głośniejszy opór! Poczęto z ascetycznych okowów wyłamywać się, nad siedmdziesięcioma omszałemi głowami Sanhedrynu natrzasać — aż nareszcie z pośród tego mroku gwałconych ludzkich

sumień, wyblysnął gigantyczny bunt Chrystusowy! Była to wielka reakcja, był to piorun protestu, który się rozległ po wszystkich krańcach świata przeciw zasadniczym pojęciom żydowskim, aby im cios śmiertelny zadać. Były to najdonioślejsze wołania w obronie naturalnych, dozwolonych skłonności ludzkich, do owej chwili samowładczo pętanych etycznym ceremoniałem Jehowy.

A jednak... ta ze wzgórza Kalwaryi spiorunowana idea nie utonąła w postanowionym podczas Wieczery Pańskiej sakramencie Eucharystyi. Do tej chwili silną piersią oddycha i skonu jej przewidzieć niepodobna. A jednak ta idea, która zabiła samo państwo żydowskie, poza jego ruinami żyje... bo jej towarzyszy druga, zdumiewająca swą potęgą, idea poświęcenia...

Ową żydowską etykę, ów fundament moralnej istności tego narodu, gdy był państwem, łamał on — łamiąc zarazem podstawę państwowości swojej, a ta podstawa była przecież, mimo swej nienaturalności, zasadniczym dla społecznej jego duszy fundamentem. Wszelako z upadkiem politycznym Żydów nie tylko nie upadło ascetyczno-mesyaniczne ich pojęcie; lecz przeciwnie potężniało z niewolą ich i niedolą równocześnie. Niegdyś buntowali się przeciw niej, bo duszę ich drogą teologicznego czadu bezustannie egzorcyzmowano. Następnie jednak w wędrownem rozproszeniu, w społecznem sieroctwie, garnęli się do niej, jako do sprzymierzonej, najwierniejszej swojej sojusznicy, jako do jedynej deski wiecznego ratunku. A więc to, co nieodmiennie zgu-

biło Żydów jako Państwo, ta politycznie i społecznie samobójcza etyka, stała się następnie ich, jako bezdomnego ludu, ukrwieniem, unerwieniem, ukostnieniem i przed nimi stoi niby gorejący symbol i zgasić go dotychczas nie zdołały poddmuchy niezdrzemionej nienawiści...

A dlaczego?!... Czemu od tego symbolu nie odwrócili się dotychczas — choć on był i pozostał gniotącym i łamiącym karki ich głazem?... Bo każdy inny politycznie upadły naród, świadom ostatecznie przyczyn swego upadku, tym przyczynom złorzeczy i ich się zarzeka. Oto np. powodem zasadniczym upadku Polski było nieuleczalne uprzywilejowanie mniejszości z krzywdą ogólną. Lecz do tych stosunków pogrobowe pokolenia z pewnością wróciłyby nie zechciały jako do zgubnych. Natomiast Żydzi uważają epokę swojej istności politycznej jako tylko jeden z okresów ich na ziemi bytu, jako okres nie lepszy ani gorszy od następnych dalszych; bo uważają swą niespożytą ideę za nieodwołalnie zawyrokowaną, usankcjonowaną, doskonałą.

Otóż w tem właśnie spoczywa niepokodzona różnica między etycznym kultem żydowskim a chrześcijaństwem. Historycznie biorąc, dostrzegamy ciągle w dziejach ludzkich ewolucje i przeistoczenia. Ale bywają idee, w uporczywości, niestrudzone.

A kto pragnie poznać psychologię narodu, (bez znajomości jej, zgłębić indywidualności jego niepodobna), winien skierować badawcze oko w stronę najznamienniejszej, najburzliwszej epoki narodu tego. Bo wtedy właśnie najsilniej ujawnia się jego indy-

widualność psychiczna. Taką epoką w odległych dziejach judejskich była „Wojna Żydów z Rzymianami“*), napisana przez Józefa Flawiusza, jednego z żydowskich przywódców tej wojny. Nikt w dziejach świata nie znajdzie bardziej przerażającego widowiska, wobec którego wojna Kartagów z Rzymianami była krwawą igraszką tylko. Zdawało się, że w krainie judejskiej, poza pojęciem Jerozolimy i Boga, wszystkie inne pojęcia i uczucia, umarły: nie było tam ojców ni matek, ni mężów, ni żon, braci ni siostr, pozostały tylko biegające wulkany nienawiści, usiłujące odeprzeć pogańsko-rzymską inwazyę. Nie było tam odwagi, bo za nią nieraz ciągnie tchórzostwo, a tego nie było — nie było tam zapału, bo go często luzuje upadek ducha, a tego nie było. Była tam poprostu nawałnica obłąkanej krwi!... Krew i szal — krew i szal. A każda nowa klęska była ołtarzem nowych demonicznych poświęceń bez granic. Na wspaniałomyślne nieraz warunki wodzów rzymskich, którzy pragnęli oszczędzić przynajmniej świątnię jerozolimską, jako dzieło sztuki — odpowiadano zdwojoną nienawiścią, ogniem piekielnym, krwawo szydzącym mieczem. Aby nie uledez tytusowym kuszeniom, wzajemnie, dobrowolnie się zabijano, a żony i dzieci przedtem wycinano, żeby w ręce Rzymian nie dostały się. Jakby wołano w niebogłoty: śmierci, pójdź! bodajeś nadażyła!... A gdy nareszcie kohordy rzymskie wkroczyły tryumfalnie po stosach żydowskich trupów do Jerozolimy i tu oszczędzić

*) Świetny przykład i przedmowa A. Niemojewskiego.

pragnęły pozostałych przy życiu i zabytki — Żydzi nie chcieli tego, a wśród zapłonionych międzypartyjnych namiętnych swarów, nienawiści, zawiści i rozczarowań, wzajemnie się wytępiali, tem ułatwiając Rzymianom ostateczny pogrom. Jakby paliło Żydów nieugaszone łaknienie skonu, jakby zupełnie stracili pamięć życia, pamiętając tylko o Jerozolimie i Bogu. Jerozolima i Bóg. Chyba nawet sam Jehowa nie pragnął dla siebie aż tak krwawego całopalnego bałwochwalstwa. Jerozolima i Bóg... Ale jej już nie mieli Żydzi, stracili ją. A On czy im pozostał?... Widocznie.

Jeżeli zaś skutek wielowiekowych tułających wędrówek i nieuniknionych sporadycznych krzyżowań, choćby nawet połowa z owej psychologii zniweczeniu uległa, to i w takim razie pozostała w nich jeszcze tak silna indywidualność, że o zasymilowaniu jej na bliższe czasy, marzyć naprawdę trudno. A przecież tak przez liczne stulecia społeczne — odsuwanie Żydów, mogło raczej ową indywidualność subiektywną bardziej jeszcze zindywidualizować, bardziej skonsolidować ją, a nie osłabić.

A wszystko to odnosi się nietylko do Żydów talmudycznych — bo i mózgowie substancje oświeconych, pozbawionych przesądów ortodoksji, nasiąkły długimi szlakami atawizmu, pierwiastkiem tradycji. I to tak silnie, że jeśli ten pierwiastek, prawem przyrodniczego przeskoku, ominie pokolenie jedno, rozumie się oświecone, to w następnym wysunie się powrotnym znamieniem i to ściśle w rodzajowości danej.

Ta więc dotychczas nie przeistoczona prapsy-

chologia żydowska jest jednym z najpotężniejszych zjawisk w dziejach łamanego a nie złamanego ludzkiego ustroju i jest przyczyną antyżydowskiego rozgwaru!

Więc co tu począć z tą wewnętrzną odrębnością, z tem posłanniczem pojęciem — bo one najsilnie brużdżą; one są właśnie podstawą tej niewyczerpanej fatygi żydowskiego ludu — albo raczej, coby z tą ideą uczynić należało — albo raczej, czy co z nią uczynić podobna?...

Pragnąłem istotę tej sprawy rozebrać aż do naga, aby ją rozbroić i zmódz — i po tem całym mojem wysileniu, stoi ona znów przed naszym zamglonem okiem w swym pełnym nieokaleczonym ryszunku.

Zadaniem moich słów nie jest sentyment. Zadaniem mojem, zestawienie dwóch różnych, rzeczywistych potęg, które pogodzić się nie dadzą, które dziejowy kategoriyczny imperatyw ze sobą i zarazem przeciw sobie sprzągł, jakby to sprzężenie było czemś nieodzownem w samym interesie dziejowego biegu, tj. moralnych i społecznych praw tj. tych praw, które nieodwołalnie tworzy pracujący bez wytchnienia mózg historii. Bo to jest walka wprost przyrodniczych instynktów, a nie przemijających społeczno-politycznych wikłań. Bo ta wielka gra przypadkową nie jest, ślepym trafem nie narodziła się. Bo zmagania tych dwojga niepokodzonych mocy dlatego są i dlatego będą trwać, że: był Chrystus, że mógł być tylko takim, jakim był: gorejącym wulkanem moralnej idei, że mógł wyjść takim

z tego właśnie niespożytego plemienia, tak, jak On sam jest niespożytym, choć był przeczeniem swego własnego łożyska. Z różnych kulturalnych ludów starożytności pozostały wspaniałe, martwe rudymenty — z judejskiego plemienia pozostał żywy chrystyanizm. Ale i plemię to pozostało jakby jego wielki, plastyczny cień. Możeby lepiej było, gdyby nie było go, choć swoją drogą niema pewności, czyby to chrystyanizmowi na pożytek wyszło. Bo, jak reakcja antysemityczna podsyca życie judaizmu, tak może antychrześcijańska idea żydowska podnieca chrystyanizmu czujność; wszak tamta była wielkim motywem jego narodzenia. Bo oba te wzajemne reagowania tak idą od swego wspólnego źródłowego wypływu, z tej głębiny betleemskiej przeszłości... z tej samej jednej kropli krwi. To ich współtrwanie jest jakąś potężną *contradictio in adjecto*. A podobne zjawisko byłoby niemożliwe, gdyby w tej ziemskiej wędrówce spotkał się był judaizm np. z budyzmem jako dwa odrębne a nie mające do siebie żadnych moralnych pretensyj, światy.

Judaizmu więc, z wyżyn historyozofii i szerokich interesów życia, nie należy uważać jako rzecz, która może uleść preistoczeniu pod wpływem cywilizacji i etyki aryjskiej, tak, jak tym wpływom ulegają wogóle warstwy niższe, ciemniejsze oświeconym. Bo judaizm jest zupełnie odrębną potęgą, którą potęga przeciwna zmoęła była już dawno, jako liczebnie słabszą, gdyby z nią spokrewnioną ona była rasowo. Lecz ta rasowa odrębność żydowska, łącznie z siłą niezmoęoną jej jakości, mimo słabości

jej liczebnej — tej siły właśnie jest rękojmnią niczem niezłamaną.

Kwestya rzymska rozwiązana — wschodnia się rozwiąże — kobieca i socyalna rozwiązuje się; ale ten duży judejski supel — nierozwikłalny.

* * *

A jednak — każdy dramat można w konkluzyi jego dosnuć dwojako: negatywnie lub pozytywnie; zgrzytem rozdźwięku lub kojącym epilogiem. Dramat, któremu przyglądaliśmy się, niepokój budzi; bo nie rozwiązuje się wedle naszego serca, wedle naszych codziennych, pobożnych pragnień. Spróbuję więc — w zakończeniu mych rozumowań, rzucić na to wielkie niezależne widmo odłysk możliwie najszerszego światopoglądu, o ile zdołam. Bo pragnąłbym nieustąpić, pragnąłbym znaleźć jedną, choćby najdłuższą nić, byle ona mogła wywieść nas z tego dziwnego kołobiegu.

.....

Doszedłem więc drogą rozmyślań do wniosków odmiennych od tych, jakie się wśród nas błakają... Pytanie jednak, czy snułem wnioski te logicznie? A jeśli istotnie logicznie to uczyniłem, jaka znów pewność, mimo wszystko, że to logizowanie sprawdzi się? Bo jaka wogóle pewność, że podstawą naszego moralnego bytu jest logika, ta nasza logika? Nie odchodząc od przedmiotu, pragnę przedstawić, że nieraz niekonsekwencye, tak, jak nasz umysł je

pojmuje, a mówię o niekonsekwencyach wielkich, płodząc zgubę, stwarzają zarazem nowe moralne światy, a oba wyniki te płyną z jednego pierwoczynu.

Otóż Żydzi dali światu dużo, bo mu dali Chrystusa, który swoją siłą prześcignął siły wszystkich wielkich arcydzieł aryjskiej rasy, na których osnowę pośrednio też oddziaływał obok wielkiej heleńskiej sukcesji. I nadto dali Żydzi Jego apostołów. Ale tego Chrystusa następnie oskarżyli przed rzymskim prokuratorem. Tym czynem, opartym nie na chwilowych podniętach, ale w obronie swego tysiącoletniego kultu, popełnili wielką na swoje nieszczęście nielogiczność, którą każdy inny naród na ich miejscu zapewne takżeby popełnił. Możeby następstw tego nieszczęścia nie było, lub odmienną miałoby ono postać, gdyby nie przybył on do Europy i nie przeciwstawił rasy swej rasie indo-europejskiej. Ale pamiętajmy jednak, że bez tej ich dziejowej winy, bez tych nieuniknionych następstw, nie byłoby ostatniej stacyi Golgotowej, przy której duch ludzki znalazł nowe oparcie z jego następsem rozległym wypromienieniem. I dlatego gotów jestem przypuścić, że moje wnioski i przewidywania mają może tylko logikę *sui generis*, tj. logikę rutyniczną, podczas gdy bój potężnych faktów i zjawisk dziejowych, posiada może inną, dla nas niepojętą, dla naszego krótkiego patrzenia, niedostrzegalną.

Tak... kwestya żydowska jest niewątpliwie czemś destrukcyjnem. Lecz każda nieprzelotna, w dużem pojęciu, destrukcyja ostatecznie zrodzić *musi* kon-

strukcyę — bo ludzkość na rumowiskach, bez kresu nie usiedzi. Bardzo wiele ona stworzyła, a potem tożsamo ułomnemi swemi palcami psuła, aby je na dłuższe czasy skutecznie naprawić. I tu też inaczej zginąby ona musiała wraz z swoją żydowską kwestyą. Możeby więc nie należało tak bezwzględnie nad losami tej sprawy rąk załamywać. Bo ludzkość ta, od nas mędrsza i ją naprawić będzie musiała. A jednym z największych i najwspanialszych ołtarzów świata jest ten, na którym składamy siebie w całopaleniu dla odległego jutra. Bo my właściwie dla samych siebie nic nie czynimy, a wszystko dla tych szczęśliwszych, jak my nieszczęśliwych, którzy przyjdą po nas, których ani widzieć, ani znać, ani kochać nie będzie nam dane.

Tak... tylko to w sumieniu naszym zwykle niemoralne, co czynimy dziś dla błahego dzisiejszego dnia, tylko to zmazane samolubstwem, tylko to skalanne i przeklęte...

Warszawa 1907 r.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

TEGOŻ AUTORA:

1. U WSPÓLNEGO STOŁU (KOMEDIA W 3 AKTACH).
 2. TOMASZ VALLE (DRAMAT W 3 AKTACH).
 3. HUMOR W PANU TADEUSZU (STUDYUM).
 4. JAKÓB WARKA (DRAMAT W 4 AKTACH, NA KONKURSIE KURYERA WARSZ. PREMIOWANY).
 5. FELJETONY, BAJKI ITP.
-

AROTJA ŠOOBI

DEJAVNA P. M. AVSTRONČIŠKI IZTOČNO-SLOVENSKI M. J.
PISARJEVA I. P. ZAKLADNIŠKI SLOVENSKI M. J.
KONVENCIO - IZTOČNIŠKI SLOVENSKI M. J.
KONVENCIO - IZTOČNIŠKI SLOVENSKI M. J.
KONVENCIO - IZTOČNIŠKI SLOVENSKI M. J.
KONVENCIO - IZTOČNIŠKI SLOVENSKI M. J.

F

22.745